PL ISSN 0867-0404
Nr indeksu 365661

magazyn 997 kryminalny

NR 9 (1904) ● 5 V 1991 ● CENA 2500 ZŁ

- ŚMIERĆ G. PRZEMYKA - KTO MATACZYŁ ŚLEDZTWO?
- WĘZEŁ – WYRÓŻNIENIE W KONKURSIE „MK 997" i „GP"
- PIJANA ŚMIERĆ
- PRZESTĘPCY „PRZYŚPIESZAJĄ"
- UMARLI RZUCAJĄ CIEŃ
- ŚWIADEK PRZESTĘPSTWA I CO DALEJ?

9 1991

zdjęcie: Krzysztof Mokrzyszewski

Taktownie, elegancko, ale i zdecydowanie działali policjanci z Komisariatu Targowego Policji w Poznaniu. Komendant komisariatu nadkom. Jan Trybus dwoił się i troił, aby jego ludzie byli wszędzie i ujawnili wszystko to, co mogłoby przeszkodzić w bezpiecznym i sprawnym przebiegu targów.

O WIELKIM HANDLOWANIU W POZNANIU PISZEMY NA STR. 12–13.

Czytaj „GAZETĘ POLICYJNĄ"

INGRES

Po 45 latach decyzją Jana Pawła II została wskrzeszona eparchia przemyska, na której czele stanął władyka (biskup) unicki Iwan Martyniuk vel Jan Martyniak.

Dzień, w którym miał nastąpić ingres biskupa zapowiadał się dość gorąco. Powodem tego nie była, jak można przypuszczać, pogoda, lecz nastroje katolików, którzy od pewnego czasu okupowali przeznaczony dla grekokatolików kościół Ojców Karmelitów, powołując w tym celu specjalny komitet.

Z kolei Polacy pochodzenia ukraińskiego w dużej części zbojkotowali ingres, uważając za niedopuszczalne, by odbył się on w kościele łacińskim. Na ulicach Przemyśla pojawiły się grupy osób niosące żółto-niebieskie flagi Niezależnej Ukrainy, opatrzone znakiem „tryzuba".

Mimo ustaleń przeprowadzonych przez komendanta wojewódzkiego Policji w Przemyślu z przedstawicielami obu wyznań (służby kościelne miały zadbać o porządek podczas uroczystości) istniała obawa, że ingres może być zakłócony sporami narodowościowymi, od lat istniejącymi na tym terenie. Na szczęście nie doszło do incydentów.

W tym miejscu warto podkreślić duży takt Policji, której obecność podczas uroczystości była prawie niewidoczna.

Istotnym elementem tej podniosłej uroczystości były słowa władyki Martyniuka, który podczas swego wystąpienia powiedział: „Przychodzę tutaj, aby budować z katolikami obrządku rzymskokatolickiego cywilizację miłości. Chcę, aby nasze obrządki żyły miłością braterską, dla dobra Polaków i Ukraińców. Odrzucam, jako sprzeczną z Ewangelią walkę chrześcijan z chrześcijanami".

Szkoda, że tych słów nie słyszeli protestujący w kościele Ojców Karmelitów (prawnie należącym do unitów). W tym samym czasie podczas trwającej tam właśnie mszy wyznawali miłość bliźniego, zwracając się z tymi słowami do tego samego (co unici) Boga.

tekst i zdjęcia
PAWEŁ SZLACHETKO

Wyniki I kwartału

Z UMIARKOWANYM OPTYMIZMEM

W I kwartale br. odnotowano zmniejszenie ogólnego zagrożenia przestępczością. Towarzyszył temu spadek liczby postępowań wszczętych o przestępstwa przeciwko mieniu, które stanowią największy procent przestępstw kryminalnych. Zmniejszyło się wyraźnie zagrożenie kradzieżami z włamaniem do obiektów społecznych (o 39,7 proc.), w mniejszym stopniu do obiektów prywatnych (o 20 proc.). Spadła też liczba kradzieży mienia prywatnego (o 21,4 proc.).

Innym, pozytywnym aspektem rozwoju sytuacji jest poprawa wskaźników wykrywalności, w tym sprawców czynów kryminalnych. Zdecydowanie zwiększyła się liczba tymczasowych aresztowań zastosowanych wobec sprawców groźnych przestępstw.

Niestety, te optymistyczne dane nie mogą przesłonić faktów negatywnych. Należy do nich utrzymujący się wysoki stopień zagrożenia rozbojami (wzrost o 4,8 proc.), zwłaszcza z bronią w ręku, przestępstwami przeciwko życiu i zdrowiu oraz władzy i urzędom. Pogorszyło się też — i to wyraźnie — bezpieczeństwo w ruchu drogowym.

Liczba zabójstw wzrosła o 21,5 proc., uszkodzeń ciała o 23 proc., bójek o 20,4 proc. (w porównaniu z I kwartałem 1990 r.). W 24 województwach wystąpił wzrost liczby rozbojów, w 23 odnotowano ich spadek. Zarejestrowano 30 napadów z bronią w ręku.

Najbardziej optymistyczny, jak już pisałem, bo świadczący o skuteczniejszej pracy Policji, jest fakt, iż po raz pierwszy odnotowano wyższą wykrywalność sprawców przestępstw (ogólny wskaźnik 50,8 proc., kategorii przestępstw kryminalnych — 44,6 proc.). Wykryto m.in. 50,1 proc. sprawców kradzieży mienia prywatnego i 46,8 proc. rozbojów, 32 proc. włamywaczy do obiektów społecznych i 24,7 proc. do obiektów prywatnych.

W wykrywalności przestępstw kryminalnych przodują województwa południowo-wschodnie: przemyskie i krośnieńskie (powyżej 80 proc. każde) oraz sieradzkie. Najgorsze wskaźniki wykazują nadal aglomeracje warszawska (14,7 proc.) i gdańska (23,5 proc.).

Należy więc zgodzić się z autorami opracowanej w Biurze Prezydialnym KGP informacji, że „analiza statystycznych parametrów przestępczości w okresie trzymiesięcznym nakazuje ostrożność w prognozowaniu dalszego rozwoju sytuacji".

M. Tabor

Na gorącym uczynku

WZROST SKUTECZNOŚCI

W marcu 1991 r. (brak nowszych danych) policjanci z jednostek terenowych zatrzymali na gorącym uczynku oraz w bezpośrednim pościgu 4115 sprawców włamań, napadów i rozbojów. W porównaniu do lutego, w marcu br. zatrzymano na gorącym uczynku 23 proc. więcej sprawców przestępstw.

Najlepsze wyniki osiągnęły w tej kategorii województwa: katowickie (343), stołeczne warszawskie (331), łódzkie (256). 40,6 proc. ogółu schwytanych na gorącym uczynku lub w bezpośrednim pościgu zatrzymano na terenie 7 województw: katowickiego, stołecznego, łódzkiego, krakowskiego, poznańskiego, bydgoskiego i wrocławskiego.

Ważne, że skoro w I kwartale br. zatrzymano na gorącym uczynku 10 257 sprawców przestępstw, stanowi to wzrost o 36,4 proc. w porównaniu z ostatnim kwartałem ubiegłego roku (zatrzymano wówczas 7522 sprawców). Jest to dowód na skuteczniejszą pracę służb patrolowych i dyżurnych Policji. Powinno więc przyczynić się do wzrostu społecznego zaufania do policyjnych działań. Tak trzymać!

(M)

Wkrótce w sprzedaży 10 numer „Gazety Policyjnej"

Polecamy w niej:

GAZETA policyjna

● PRAWO I PRAKTYKA — KAZUSY PRAWNE i KRYMINALISTYCZNE ● KONTROLOWANIE OSÓB — CO WOLNO, CZEGO NIE WOLNO? ● RELACJA Z WIZYTY W ANGLII ● WARUNKI SŁUŻBY POLSKICH POLICJANTÓW ● JĘZYKI SEKRETNE ● HOROSKOP NA MAJ ●

NIE BĘDZIE PROGRAMU TV

Uwaga! W związku z tym, że cykl produkcyjny naszych czasopism trwa 2 tygodnie, a Telewizja nie może nam zapewnić aktualnego programu z takim wyprzedzeniem, rezygnujemy z tej rubryki. Przepraszamy Czytelników.

Redakcja

NOWE OBLICZE TERRORYZMU

1 kwietnia br. terroryści niemieccy zamordowali prezesa Urzędu Powierniczego dla terytorium byłej NRD Detleva K. Rohweddera. W Bonn mówi się, że swego rodzaju zleceniodawcą zamachu była „Stasi", była wschodnioniemiecka policja polityczna. Ujawnione niedawno powiązania RAF (Frakcji Czerwonej Armii) z tym resortem mogłyby przemawiać za istnieniem zakulisowych macek „oficerów do specjalnych poruczeń".

Nie ulega wątpliwości, że to zabójstwo było uderzeniem w jedność Niemiec, dokonanym przez niewielką grupę zdecydowanych na wszystko ludzi (do czołówki Rote Armee Fraktion zalicza się 15—20 terrorystów), którzy postawili sobie za cel zniszczenie państwa.

W Niemczech wyrosło już trzecie pokolenie następców Andreasa Baadera i Gudrun Ensslin, którzy w kwietniu 1968 r. podpalili 2 frankfurckie domy towarowe rozpoczynając w ten sposób epokę terroryzmu. Grupa Baader-Meinhof, od roku 1971 RAF (Frakcja Czerwonej Armii) postawiła sobie za cel obalenie ustroju Republiki Federalnej Niemiec, kapitalizmu monopolistycznego, zmobilizowanie „mas dla celów rewolucji". RAF nawiązała kontakty z ruchami narodowowyzwoleńczymi w Trzecim Świecie. W 1972 r. Baader, Ulrike Meinhof i 3 inni przywódcy znaleźli się w więzieniu.

Ich następcy rozpoczęli walkę o uwolnienie wodzów. Temu celowi służyło porwanie Hansa M. Schleyera oraz uprowadzenie samolotu Lufthansy w 1977 r. do Mogadiszu.

Ofiarami terrorystów RAF byli urzędnicy państwowi oraz członkowie korporacji przemysłowych i bankierzy. Przy „okazji" ginęły osoby z ich ochrony. Sprawcy nie zostali schwytani.

Dzisiejsi terroryści działają precyzyjnie, przewyższając w konspiracji swych „ojców" i „dziadów". Nie zostawiają odcisków palców, często zmieniają tożsamość i mieszkania, korzystają z pomocy zagranicznych ugrupowań ekstremistycznych.

Kolejne pokolenia RAF budowały swoisty etos. Zamachu na Rohweddera dokonało „komando Ulricha Wessela". Terrorysta ten zginął podczas ataku na ambasadę RFN w Sztokholmie w kwietniu 1975 roku.

Zbrodnia w wielkanocny poniedziałek zszokowała Niemców. Przypomniała im, że kilkunastu fanatyków i kilkaset sympatyzujących z nimi osób może trzymać w szachu demokratyczne społeczeństwo. Niepokój budzą byli oficerowie „Stasi", którzy głęboko zakonspirowani rozpłynęli się po zjednoczeniu między Odrą i Renem. Fakt, że NRD Honeckera udzielała poparcia międzynarodowym terrorystom, których szkolono i ochraniano we wschodnich Niemczech, wywołuje niepokój. Co będzie, jeśli fanatycy RAF zjednoczą się we wspólnej walce z byłymi fachowcami „Stasi"?

oprac. MAT

KULISY „SPRAWY PRZEMYKA"

POLITYKA RZĄDZIŁA PRAWEM

Rozmowa z prokuratorem BŁAŻEJEM SOBIERAJSKIM

— We wstępie do zapowiedzianej rozmowy z Panem („MK 997" nr 8 z 21.04.91 r.) zobrazowałem w ogólnych zarysach prawdziwe oblicze „sprawy Przemyka", które odsłoniło wznowione przed kilkoma miesiącami śledztwo, prowadzone przez Departament Prokuratury Ministerstwa Sprawiedliwości. Myślę, że naszą rozmowę należy rozpocząć od przypomnienia Czytelnikom, w ogromnym skrócie, jak doszło do tragicznej śmierci G. Przemyka i dlaczego ówczesne centra władzy komunistycznej ogarnął popłoch na wieść o niej...

— Zacznijmy od przejrzenia drugiego z aktów oskarżenia, który Prokuratura Wojewódzka w Warszawie skierowała 7 maja 1984 r. do sądu. Jest to ważne z tego m.in. względu, że nie został w nim zanegowany fakt, iż Grzegorz Przemyk nie był pobity przed zatrzymaniem go w dniu 12 maja 1983 roku na placu Zamkowym w Warszawie przez funkcjonariuszy MO, a następnie przewiezieniem do XVIII Komisariatu MO przy ul. Jezuickiej. Szczegół ten jest o tyle istotny, że — jak wykazała lektura utajnionej dokumentacji b. MSW i KG MO — rozważano podczas prowadzonego przed ośmioma laty śledztwa również sfabrykowanie wersji, że został on poturbowany jeszcze przed kontaktem z milicją. Była ona, podobnie jak inne fałszywe opisy rzekomego pobicia Przemyka poza komisariatem, do których się „przymierzano", szyta tak grubymi nićmi, że jej wiarygodność okazałaby się żadna. Ostatecznie więc prokurator oskarżył funkcjonariuszy MO — Ireneusza Kościuka i Arkadiusza Denkiewicza o to, że na terenie Komisariatu wzięli udział w pobiciu Grzegorza Przemyka, polegającym na zadawaniu mu uderzeń pałką oraz rękami i narażając na... niebezpieczeństwo ciężkiego uszkodzenia ciała (przestępstwo z art. 158 § 1 k.k.). Udział Denkiewicza — zaznaczono — wyrażał się w nawoływaniu do bicia nie pozostawiającego śladów. Natomiast w odniesieniu do Michała Wysockiego i Jacka Szyzdka oskarżyciel zastosował art. 158 § 3 k.k. Oskarżył ich o pobicie powierzonego ich pieczy Grzegorza Przemyka, które polegało na zadawaniu mu ciosów nogami i pięściami oraz ciągnięciu go brutalnie za nogi po schodach i korytarzu, w wyniku czego doznał rozległych obrażeń, zwłaszcza w jamie brzusznej, w następstwie których poniósł śmierć. Nadto prokurator oskarżył Wysockiego i Szyzdka, że 4 maja 1983 r., a więc na osiem dni wcześniej, wzięli oni udział w pobiciu przewożonego karetką pogotowia ratunkowego Waldemara P., kilkakrotnie kopiąc go po całym ciele, narażając na bezpośrednie niebezpieczeństwo ciężkiego uszkodzenia ciała (analogicznie jak w stosunku do milicjantów jest to przestępstwo z art. 158 § 1 k.k.). Dodatkowo Jacek Szyzdek został oskarżony o zabranie poszkodowanemu pieniędzy.

— W pańskiej relacji doszliśmy w zasadzie do aktu finalnego śledztwa. Zanim przejdziemy do omówienia kulis jego przebiegu, przypomnijmy dlaczego G. Przemyk został w ogóle zatrzymany przez milicjantów?...

— Zacznę od uwagi osobistej, że obecnie żaden chyba policjant owej przyczyny nie uznałby za dostateczną do interweniowania, ale potraktował z przymrużeniem oka. Dla porządku zrekonstruuję zajście, opierając się znowu wyłącznie na treści uzasadnienia wspomnianego aktu oskarżenia. Otóż 12 maja 1983 r., korzystając z przerwy w maturalnej sesji egzaminacyjnej (świadkowie dodali, że z racji urodzin G. Przemyka — przyp. LJS) w jego mieszkaniu odbyło się spotkanie koleżeńskie. Ok. godz. 15.00 goście wraz z gospodarzem udali się na spacer po Starym Mieście. W drodze powrotnej na plac Zamkowy, gdzie znajdował się przystanek autobusowy, idąc ul. Świętojańską, Grzegorz Przemyk — cytuję — „objął rękoma za szyję jednego z kolegów — Cezarego F. i zawisł na jego plecach". W ten sposób weszli na plac Zamkowy. W pewnym momencie Cezary F. potknął się i obaj upadli na chodnik. Obrazek ten zaobserwowali pełniący patrol dwaj zomowcy — Ireneusz Kościuk i B. B. Podeszli do chłopców i... zażądali legitymacji. Grzegorz Przemyk nie posiadał dokumentów i milicjanci postanowili go przewieźć do komisariatu. Wraz z nim udał się tam jego kolega Cezary F. On też był naocznym świadkiem tego, co działo się w komisariacie. Przez cały okres śledztwa SB i MO robiły wszystko, aby składał on zeznania nieprawdziwe, ale po ich myśli. Nadaremnie, mimo że — jak pan napisał w swoim artykule — zastosowane metody niewiele miały wspólnego z literą prawa.

— Czy Grzegorz i jego koledzy zaczepiali przechodniów na ulicy, wszczynali burdy lub w inny sposób zakłócali porządek publiczny, które to czyny uzasadniałyby ich legitymowanie, a następnie przewiezienie dwóch z nich do komisariatu?

— Ani w akcie oskarżenia, ani w materiale dowodowym nie ma o tym wzmianki. Tego rodzaju zarzut, niewątpliwie wygodny dla prowadzących ówczesne śledztwo, trudny byłby do udowodnienia. Stołeczny plac Zamkowy — to wszak nie pustynia... Może budzić także wątpliwości zabranie Przemyka do komisariatu z powodu braku dokumentów, skoro był on w towarzystwie kolegów-maturzystów, którzy takowe posiadali i mogli poświadczyć jego tożsamość. Pamiętajmy jednak, że był to czas tuż po zakończeniu stanu wojennego, okres, w którym prawo, często nowo ustanawiane, skierowane było, ze zwielokrotnionym natężeniem, przeciwko obywatelom, a nie w celu ochrony ich swobód i godności.

— Logiczne jest więc stwierdzenie, że gdyby Przemyk nie znalazł się w komisariacie, do tragedii w ogóle by nie doszło. Wydaje się bowiem, że — nie rozstrzygając w tej chwili w którym momencie padły ciosy decydujące o życiu lub śmierci — pierwsze zadał mu je milicjant. Wielokrotnie ponawiane jest w związku z tym pytanie, czy pobicie, ale nie zabicie G. Przemyka było samowolą funkcjonariuszy MO, czy wykonaniem odgórnego polecenia? O ile wiem, nie padło ono ani w trakcie poprzedniego śledztwa (czemu zresztą trudno się dziwić...), ani w trakcie procesu. Gdyby przyjąć drugą wersję, to można by sądzić, że uczeń liceum był kimś bardzo groźnym dla ówczesnego reżimu. Orientuję się, że w uratowanych tajnych aktach MSW i MO znajduje się notatka „informatora" tej instytucji, z której wynika, że w chwili wpychania Przemyka do samochodu jeden z milicjantów miał powiedzieć: „no, nareszcie go mamy...". O co więc naprawdę chodziło?

— Stawia pan niełatwe pytanie. Z jednej bowiem strony zakrawa na absurd, aby 19-letni chłopak miał być obiektem zaplanowanego aktu bestialstwa ze strony SB i MO, co wskazywałoby, że był kimś wybitnym wśród podziemia antykomunistycznego; z drugiej zaś — pewne poszlaki mogłyby świadczyć, że jego zatrzymanie i pobicie nie stanowiło dzieła przypadku. Można by np. domniemywać, że chciano kogoś w ten sposób zastraszyć, przestrzec przed kontynuowaniem działalności. Wiadomo, że w mieszkaniu matki Grzegorza — p. Barbary Sadowskiej, które było również jego domem, przebywali ludzie z opozycji. Nie stanowiło tajemnicy, m.in. w szkole, do której uczęszczał, że pisze wiersze o treści, która na pewno nie spodobałaby się cenzurze oraz — podobnie jak wielu jego rówieśników — nie darzy sympatią u-

ciąg dalszy na s. 23

NIESPOKOJNE GRANICE

Z komendantem głównym Straży Granicznej — płk. prof. dr. hab. MARKIEM LISIECKIM rozmawia Leszek J. Sroka

— Panie pułkowniku, czy dokonane niedawno przeistoczenie Wojsk Ochrony Pogranicza w Straż Graniczną było tylko zabiegiem formalnym, zmianą nazwy, czy też łączy się z przeobrażeniami organizacyjnymi oraz nowymi zadaniami i obowiązkami?

— Z chwilą reorganizacji MSW wyniknął również problem: co dalej z WOP? Propozycje były różne, od utrzymania charakteru wojskowego tej formacji — po uczynienie z niej jednego z pionów Policji. Przeważył ostatecznie pogląd, potwierdzony następnie ustawami o granicy państwowej i o Straży Granicznej, aby była to formacja zawodowa podległa ministrowi spraw wewnętrznych, której komendant, mianowany — podobnie jak w przypadku komendanta głównego Policji — przez premiera, stanowi centralny organ administracji państwowej. Poza zadaniami tradycyjnymi, wykonywanymi dotychczas przez WOP, na SG nałożono wiele nowych obowiązków, a wśród nich pełnienie funkcji urzędu imigracyjnego oraz ochrony morskich granic państwa. Adekwatne będzie określenie, że straż stanowi specjalną formację policyjną, współpracującą na co dzień z Policją i Urzędem Ochrony Państwa.

— Zaznaczył pan zawodowy charakter SG. Tymczasem nadal w jej szeregach w przeważającej mierze są żołnierze poborowi. Widocznym zmianom nie uległo też umundurowanie...

— Zawodowstwo jest założeniem docelowym. Trudno byłoby bowiem zrobić to z dnia na dzień. Obecnie służy w SG ok. 20 tys. żołnierzy, natomiast kadra zawodowa liczy ok. 7 tys. osób. Zakładam, że w sytuacji pełnego zawodowstwa osiągnie ona liczbę ok. 15 tys. funkcjonariuszy. Jeżeli natomiast chodzi o umundurowanie, to — podobnie jak Policja — musimy znosić te mundury, które zalegają jeszcze w magazynach. Z czasem i to się zmieni.

— Kto zasili szeregi funkcjonariuszy SG? Nie mogą to być przecież ludzie przypadkowi, bez odpowiedniego przygotowania teoretycznego i praktycznego...

— Liczę, że zaistniałą lukę kadrową zapełnią młodzi ludzie, którzy powinność wojskową odbywać będą z wyboru w SG. Ustawodawca przewidział, że (podobnie jak w przypadku Policji) po 12 miesiącach służby, traktowanych jako staż kandydacki, wielu z nich, na zasadzie osobistej decyzji o stałym związaniu się z naszą formacją, będzie mogło stać się funkcjonariuszami etatowymi. Niezależnie od praktycznej wiedzy, jaką ci kandydaci nabędą podczas stażu, będą oni mogli uzupełnić ją w jednej z naszych szkół. Chcę tutaj wspomnieć, że przyszłych oficerów SG kształcić będziemy w ścisłej współpracy z Wyższą Szkołą Policji, podobnie jak cały proces szkoleniowy oprzemy na współdziałaniu ze szkolnictwem policyjnym (np. roczne przeszkolenia w Centrum Szkolenia Policji w Legionowie). Nie oznacza to, że zrezygnujemy z własnych, odziedziczonych po WOP i nieźle wyposażonych, ośrodków kształcenia. O wszystkim tym mówię dlatego, ponieważ efektywność pracy SG wynikać musi z możliwie najlepszego przygotowania fachowego jej funkcjonariuszy, do których dyspozycji sukcesywnie oddawać będziemy najnowocześniejszy, również elektroniczny, sprzęt i urządzenia. „Fotograficzny" wizerunek wopisty patrolującego pas graniczny z pięknym psem traktować trzeba, nawet z łezką w oku, jako relikt przeszłości. Odpór przestępcom granicznym, często — jak się ostatnio przekonujemy, ujawniając mafie przemytnicze — wyposażonym w wysokiej jakości sprzęt, dać może jedynie SG odpowiednio do tego przygotowana.

— Dotąd mówiliśmy o przyszłej kadrze SG. Co natomiast się stanie z owymi 7 tys. żołnierzy zawodowych z b. WOP? Czy pozostaną oni w Straży?

— Ustawa o Straży Granicznej zawarowała, że w ciągu sześciu miesięcy, a więc do 19 maja br. wszyscy oni zwolnieni zostaną do rezerwy. Każdy z nich mógł złożyć jednak wniosek o przyjęcie do pracy w SG albo raport o przeniesienie do wojska, lub — w uzasadnionych przypadkach — na emeryturę. Nie ukrywam, że takie rozwiązanie sprawy stanowiło element weryfikacji. Mogę jednak dodać, że dla większości przebiegła ona pozytywnie. Dotyczy to zwłaszcza młodej kadry zawodowej b. WOP.

— Jaką przyjęto strukturę organizacyjną Straży Granicznej?

— Próby tworzenia jej „od dołu" nie rokowały powodzenia. Absurdem byłoby przecież nagłe i całkowite zlikwidowanie struktur b. WOP i rozpoczynanie wszystkiego od nowa. Musi to być proces ewolucyjny. Rozpoczęliśmy go „od góry". W Komendzie Głównej SG funkcjonuje już osiem biur, zajmujących się poszczególnymi działami naszej pracy. Powołałem 14 komend oddziałów, którym podlegają 154 strażnice i 46 granicznych placówek kontrolnych obsługujących 92 przejścia graniczne.

— Czy liczba strażnic jest wystarczająca?

— Poruszył pan temat spędzający nam sen z oczu. Sieć strażnic WOP skoncentrowana była przede wszystkim na granicy zachodniej oraz częściowo południowej. Ochronę granicy wschodniej nazwać było można symboliczną. Tymczasem realia polityczne, wynikające z obecnego statusu Polski i innej zupełnie niż uprzednio sytuacji w Europie sprawiają, że gros uwagi musimy skupić na umocnieniu naszej granicy ze Związkiem Radzieckim. Wśród innych, główną tego przyczyną są już odczuwalne, a w niedalekiej przyszłości prawdopodobnie zmasowane ruchy migracyjne ze Wschodu, których nie będzie w stanie zatamować wręcz śmiesznie mała i personalnie nieliczna liczba naszych strażnic. Podejmujemy wysiłki, aby ten stan rzeczy uległ zmianie (m.in. utworzyliśmy Komendy Oddziału SG w Chełmie oraz Kętrzynie), ale na wszystko to potrzeba czasu i przede wszystkim pieniędzy. A tych, jak wiadomo, zbyt wiele nie mamy. Dla przykładu podam, że większość środków na inwestycje, którymi dysponował w ub.r. i w początkach bieżącego nasz budżet pochłonęła budowa przejścia granicznego w Cieszynie, realizowanego w wyniku umowy międzyrządowej z Czechosłowacją. Dlaczego odbywa się to za pieniądze SG — trudno właściwie uzasadnić. Uważam fakt ten za wielkie nieporozumienie, tym bardziej że potrzeby inwestycyjne straży miast maleć — wzrastają. Wspomnę chociażby o pilnej potrzebie budowy dziewięciu nowych strażnic na granicy z ZSRR.

— Nie jest to więc obraz zbyt optymistyczny...

— Co nie oznacza, że opuściliśmy ręce. Źle jest pod względem finansowym w dziedzinie inwestycji, lepiej nieco w zapewnieniu środków na inne działy naszej pracy. Chcę podkreślić, że obecną sytuację funkcjonariusze nasi przyjmują ze zrozumieniem, żywiąc jednak nadzieję, iż okres finansowego regresu w SG (w budżecie państwa uwzględniono w br. zaledwie ok.

POLICJA INFORMUJE

(Wybór zdarzeń kryminalnych)

HORROR

● 2 kwietnia KRP Szczecin-Śródmieście powiadomiona została przez pogotowie ratunkowe o odwiezieniu do szpitala ciężko poparzonego Roberta K. (lat 18), którego pobili na ulicy 2 mężczyźni. Jeden z nich ponadto oblał pokrzywdzonego płynem łatwopalnym i podpalił. Robert K. zmarł w szpitalu. Policja ustaliła sprawcę podpalenia — Roberta Ś. (lat 18) i zatrzymała go wraz z Grzegorzem W.

● 5 kwietnia w Pyskowicach (woj. katowickie) Agnieszka M. (lat 15), uczennica VIII klasy nakłoniła Arkadiusza S. (lat 15), ucznia VI klasy szkoły specjalnej do zabójstwa kolegi Piotra K. (lat 17). Agnieszka M. zasłoniła twarz Piotra K. i wówczas Arkadiusz S. ugodził go finką w klatkę piersiową. Piotr K. zmarł w szpitalu.

● 6 kwietnia w Warszawie Andrzej Z. postrzelił swoją byłą żonę Bogumiłę Z. oraz zastrzelił przebywającego w mieszkaniu jej przyjaciela Marcina Z. (lat 18). Sprawcę zatrzymali na miejscu zdarzenia policjanci z KRP Warszawa—Praga-Północ po anonimowym zgłoszeniu telefonicznym.

● W nocy z 6 na 7 kwietnia w Turku (woj. konińskie) w mieszkaniu Wiesławy W. został śmiertelnie pobity Marek D. Zwłoki przeniesiono do mieszkania Stefanii D. i ukryto w wersalce. Policja ustaliła i zatrzymała podejrzanych: Tadeusza M. i Jana Z., których osadzono w areszcie.

● 7 kwietnia w nocy w Mielcu (woj. rzeszowskie) Mirosław Ś. wychodząc z budynku po wizycie u swego teścia Edwarda C. został zaatakowany przez dwóch mężczyzn. Pomocy udzielił mu szwagier Daniel C. używając miotacza gazowego. Obaj wrócili do mieszkania. Po chwili napastnicy zaczęli dobijać się do drzwi, wraz z nimi pojawił się trzeci mężczyzna z nożem. Mirosław M. ugodzony tym nożem zmarł na miejscu. W trakcie bijatyki ranę w okolicy serca odniósł jeden z napastników Mirosław R., który zmarł w szpitalu. Policja zatrzymała 2 pozostałych sprawców Janusza K. i Wojciecha K. (obaj z ranami kłutymi). Pomocy lekarskiej udzielono też Edwardowi C.

HORROR RODZINNY

● 4 kwietnia w Tomaszowie (woj. zamojskie) Ryszard B. (lat 25), który powrócił tego dnia do domu z leczenia odwykowego w szpitalu psychiatrycznym, pobił ze skutkiem śmiertelnym swojego ojca Stefana (lat 60). Sprawcę zatrzymano.

● 8 kwietnia dyspozytor pogotowia ratunkowego w Lubaniu Śl. (woj. jeleniogórskie) powiadomił Policję o zabójstwie dokonanym poprzedniego dnia w m. Nawojów przez Krzysztofa R. (lat 18). Zaatakował on nożem swych rodziców, którzy układali się do snu. Na miejscu zmarł Jan R. (lat 55), jego żona Janina przewieziona została do szpitala. Sprawcę zatrzymano i umieszczono w szpita-

50 proc. naszych potrzeb) nie będzie trwał wiecznie.

Pragniemy wzmocnić nasze kontakty i współpracę z samorządami gmin i terenowymi organami administracji państwowej, które, zwłaszcza w województwach nadgranicznych, okazują duże zainteresowanie naszą pracą. Oczekujemy, że w miarę pojawiających się możliwości, budżet nasz zostanie jednak wzbogacony. Nadzieja ta znajduje oparcie w jednoznacznie pozytywnym dla naszych postulatów stanowisku komisji parlamentarnych, zajmujących się problematyką resortu spraw wewnętrznych. Na razie, duży nacisk położymy na wyposażanie placówek w nowoczesny sprzęt oraz konsekwentne realizowanie zatwierdzonej struktury organizacyjnej SG.

— Novum w tej strukturze jest Oddział Morski. Rozumiem, że obowiązki strzeżenia morskiej granicy Polski przejmujecie od Marynarki Wojennej...

— Nie tylko obowiązki, ale także sprzęt pływający. Przewidujemy przejęcie ok. 40 okrętów. Pierwsze jednostki pływają już pod banderą SG. Sztab Oddziału Morskiego usytuowany został w Gdańsku, niezależnie od znajdującej się tam również Komendy Oddziału Lądowego.

— Czy nie obawiacie się, że MON przekaże wam przysłowiowe stare balie, zatrzymując nowocześniejsze jednostki dla siebie?

— Teoretycznie taka ewentualność istnieje. Nikt przecież, skoro nie musi, nie pozbywa się rzeczy najcenniejszych. Sądzę jednak, że kierownictwo MON, rozumiejąc rangę sprawy, nie dopuści do przekazania nam staroci, które uniemożliwiłyby wykonywanie zadań przez SG. W końcu i Marynarka Wojenna, i jednostki morskie SG służą wspólnej sprawie.

— Jakie są marzenia komendanta głównego Straży Granicznej?

— W zasadzie jestem realistą i może dlatego moje marzenia związane z pełnioną funkcją stanowią listę potrzeb mojej formacji. Jest ona długa, ograniczę się więc do wymienienia niektórych jej punktów. Niezbędne Oddziałowi Morskiemu SG są helikoptery oraz przynajmniej jeden—dwa okręty, na których mogłyby one „siadać". Nie muszę dodawać, że śmigłowce potrzebne są również innym jednostkom straży. Dalej, zgodnie z ustawą, SG obowiązana jest do zapewnienia porządku i bezpieczeństwa na przejściach granicznych. Konieczne jest więc wyposażenie jej w lekkie, ale opancerzone samochody terenowe np. typu landrover. Jak byłyby one przydatne, przekonaliśmy się, gdy 31 grudnia ub. roku liczące ok. 2 tys. osób grupy organizacji „Wiking" z Niemiec usiłowały przekroczyć granicę, wszczynając antypolskie burdy. Nie jest to zresztą przykład odosobniony. Sprawą coraz pilniejszą staje się też wyposażenie SG w nowoczesne i ekonomiczne wozy osobowo-terenowe do celów patrolowych. Obecnie posiadany przez nas tabor samochodowy dożywa ostatnich dni. Pragnę tutaj wspomnieć, że podejmujemy wraz z Policją starania, aby znaleźć producenta takich pojazdów (obu wspomnianych typów), który by nie zdarł z nas skóry, a zarazem gwarantował wysoki standard swoich produktów. Kolejne marzenie — potrzeba, to wprowadzenie pełnej, komputerowej ewidencji osób przekraczających granicę. Mam na myśli cudzoziemców i obywateli polskich. Nie muszę chyba wyjaśniać, jak pomocne byłoby to dla usprawnienia obsługi ruchu granicznego. W końcu sprawa, o której trzeba już dzisiaj nie tylko myśleć, ale przedsięwziąć odpowiednie kroki. Jeżeli SG ma być formacją zawodową, to musi zapewnić mieszkania dla swoich funkcjonariuszy. Wiele placówek znajduje się na zupełnym odludziu i pracującym w nich ludziom należy dać nie tylko przysłowiowy dach nad głową, ale odpowiednie do tej nietypowej sytuacji warunki życia. Problem ten kierownictwa MSW i SG, wraz z nowo utworzonym NSZZ Funkcjonariuszy Straży Granicznej, mają stale na uwadze.

— Dziękuję za rozmowę.

WŁAMANIA DO KOŚCIOŁÓW

Rozmowa z księdzem kanclerzem ZDZISŁAWEM KRÓLEM z Archidiecezji Warszawskiej.

— Wraz z ogólnym wzrostem przestępczości w Polsce nasiliły się również kradzieże i włamania do kościołów. Giną niekiedy cenne dzieła sztuki sakralnej. Jakie straty poniosła Archidiecezja Warszawska w wyniku tych czynów?

— Wbrew niektórym utartym opiniom na terenie naszej archidiecezji wielkie włamania do kościołów, tzn. takie, które pociągają za sobą poważne straty zarówno materialne, jak i kulturalne, należą do wypadków sporadycznych. Najcenniejsze okazy sztuki sakralnej znajdują się w Muzeum Archidiecezji. Przeważają więc drobne kradzieże dokonywane przez wyspecjalizowanych złodziejaszków, różnej maści amatorów, włóczęgów.

— Co kradną?

— Najczęściej pieniądze. Mają specjalne przyrządy, za pomocą których wydobywają banknoty z puszek przeznaczonych na ofiary. Niekiedy zabierają całe puszki. Często okradają modlących się wiernych. Kieszonkowcy pozbawiają ich portfeli, portmonetek, torebek.

— Jak często zdarzają się tego rodzaju kradzieże?

— W niektórych parafiach bardzo często, kilka razy w ciągu dnia. Niekiedy jednak straty są tak nieznaczne, że proboszcz nie zgłasza ich nawet Policji. Częstotliwość tego typu kradzieży jest dla nas bardzo dokuczliwa.

— Zdarzają się jednak, chociaż rzadziej, kradzieże poważniejsze...

— Istotnie. Działają gangi wyspecjalizowane w okradaniu kościołów. W ich skład wchodzą prawdziwi znawcy sztuki, niejednokrotnie lepiej orientujący się w wartości znajdujących się w kościele przedmiotów niż jego personel.

— Jakiego rodzaju środki zabezpieczające podejmuje Kościół?

— Podstawowe zabezpieczenie to kraty w oknach i mocne drzwi zaopatrzone w solidne zamki. Kościół nie może być otwarty przez cały dzień, wierni muszą się z tym pogodzić. Nie ma chyba jednak skutecznych sposobów zabezpieczających przed złodziejami-fachowcami. Stosują oni najrozmaitsze sposoby, działają z tupetem. Niech zobrazuje to następujący przykład. Kiedyś, było to dobrych kilka lat temu, przed kościół św. Aleksandra w Warszawie podjechała furgonetka. Wysiadło z niej dwóch panów, którzy oświadczyli, że są z punktu napraw instrumentów muzycznych i przyjechali, aby zabrać fisharmonię, która istotnie była uszkodzona. No i zabrali, brat zakrystian pomógł im nawet załadować ją na furgonetkę. Oczywiście instrument nie powrócił już do kościoła.

rozmawiał
PIOTR KITRASIEWICZ
zdj. archiwum

lu, gdyż przy użyciu piły tarczowej odciął sobie obie dłonie.

ZGWAŁCENIA

● 2 kwietnia łódzka Policja powiadomiona została o gwałcie dokonanym na 10-letniej Katarzynie S. Ustalono, że nieznany mężczyzna wszedł na podwórze i zaatakował bawiące się dziewczynki. Sprawca uprowadził starszą i zgwałcił w nie zamieszkałym lokalu na parterze budynku. Ponadto kopnął w twarz jej 4-letnią siostrę. Dziecko z rozległymi obrażeniami głowy zostało znalezione przez matkę. Policja zatrzymała mężczyznę odpowiadającego rysopisowi sprawcy — Roberta S. (lat 21) z Łowicza. 4 kwietnia popełnił on samobójstwo w celi Aresztu Śledczego w Łodzi.

● 4 kwietnia w Bytomiu (woj. katowickie) nieznany mężczyzna siłą zaprowadził Agnieszkę N. (lat 14) do mieszkania, gdzie ją zgwałcił. W mieszkaniu tym przetrzymywał nieletnią wbrew jej woli do godzin rannych. Zatrzymano wskazanego przez pokrzywdzoną sprawcę Franciszka B., przebywającego na przepustce z więzienia.

ZUCHWAŁE NAPADY

● 5 kwietnia około godz. 13 w Toruniu dwóch mężczyzn napadło na ulicy na trudniącego się handlem złotem Janusza M. (lat 66). Sprawcy uderzyli go w głowę, a gdy stracił przytomność, skradli napadniętemu torbę z 2 złotymi zegarkami, biżuterią i pieniędzmi łącznej wartości 100 mln zł.

● Tego samego dnia w Kłodzku (woj. wałbrzyskie) dokonano napadu na Irenę S., kasjerkę zakładu gazowniczego. Zamaskowany sprawca z bronią w ręku wszedł do pomieszczenia księgowości. Irena S. wraz z drugą pracownicą wzywając pomocy zamknęły się w kasie. Pracownik gazowni Jan C. rzucił się na napastnika, który dwukrotnie wystrzelił z pistoletu gazowego. Inni pracownicy gazowni obezwładnili przestępcę, którym okazał się Jarosław Ch. (lat 20) z Wałbrzycha.

● 7 kwietnia około północy w Piotrkowie Tryb. trzech młodych mężczyzn używając pistoletu i tzw. urzyna dokonało napadu na stację benzynową. Napastnicy zrabowali 20 mln zł, po czym odjechali samochodem należącym do jednego z ajentów.

WIELKIE ŁUPY

● 2 kwietnia ujawniono w Warszawie włamanie do Muzeum Literatury. Sprawcy po wycięciu ram skradli z wystawy 6 obrazów łącznej wartości 265 mln zł.

● Tego samego dnia w Żarach (woj. zielonogórskie) odkryto włamanie do magazynu Huty Szkła Okiennego. Sprawcy skradli pastę srebrową o wartości około 360 mln zł.

● 5 kwietnia w Ostrowie Wlkp. (woj. kaliskie) dokonano napadu na dom samotnie mieszkającego Zdzisława L. (lat 74). Sprawcy weszli przez okno na piętrze po drabinie, linką związali śpiącemu właścicielowi ręce i nogi, przykryli go kołdrą, po czym skradli 12 obrazów, złote monety, biżuterię, zabytkowe pistolety łącznej wartości 292 mln zł.

● Tego samego dnia w Gdańsku ujawniono włamanie do mieszkania Tatiany M. Sprawcy skradli 1300 mln zł na szkodę Krzysztofa D. oraz złotą biżuterię i korony szwedzkie wartości 200 mln zł, będące własnością Tatiany M.

● W nocy z 6 na 7 kwietnia w Grodzisku Maz. (woj. warszawskie) do mieszkania samotnie mieszkającego Lecha D. (lat 85) wtargnęło dwóch mężczyzn. Napastnicy zrabowali 12 obrazów i zabytkową cukiernicę łącznej wartości 2280 mln zł.

oprac. MAT

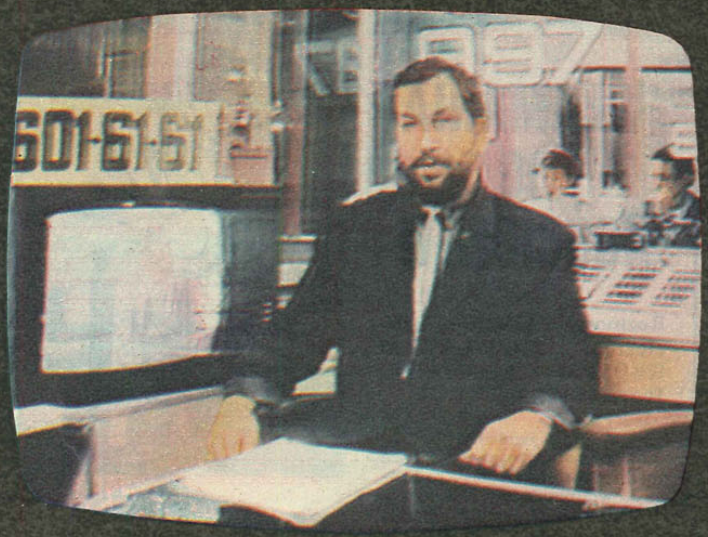

997

KRONIKA

pod redakcją

TADEUSZA NOSZCZYŃSKIEGO

POLICJA DZIĘKUJE

Dzięki informacjom od telewidzów zabójca 55-letniego Bogdana Niedzielskiego z Łodzi został zatrzymany. Przypomnijmy pokrótce historię tej prezentowanej w poprzednim wydaniu „997" sprawy.

Kilka lat temu pan Niedzielski, pracownik Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego „Lido" przeszedł na rentę i od tej pory zajął się handlem. Był starym bywalcem bazaru w dzielnicy Górna. Specjalizował się w skupowaniu od Rosjan złota, a następnie sprzedawaniu go z zyskiem jubilerom lub przygodnym klientom. Na początku października ub.r. żona pana Niedzielskiego wyjechała do sanatorium. 8 października widziano go w zakładzie blacharskim przy ul. Reymonta, skąd odebrał swojego malucha, następnie w zakładzie „Lido", a około 17.00 w restauracjach „Pabianicka" i „Lotnicza". Od pewnego momentu towarzyszył mu mężczyzna, którego portret pamięciowy udało się odtworzyć policjantom na podstawie zeznań świadków.

Następnego dnia rano sąsiadka zauważyła uchylone drzwi do mieszkania państwa Niedzielskich. W środku znajdowały się zakrwawione zwłoki pana Bogdana. Zabójca zabrał z mieszkania 1000 marek niemieckich, 20 mln zł, złotą biżuterię, złoty zegarek, pięć złotych pierścionków, aparat fotograficzny „Yashica" i inne przedmioty.

Ustalenie wszystkich kontaktów handlowych pana Niedzielskiego sprawiło policjantom wiele kłopotu. Toteż pomoc telewidzów okazała się bezcenna. Niestety, prokurator (dla dobra śledztwa) nie zezwolił na publikację bliższych szczegółów dotyczących zatrzymania sprawcy zbrodni. Możemy jedynie ujawnić, że mężczyzna ten był już osądzony i skazany za podobny czyn. Otrzymał wyrok dożywotniego więzienia, zamieniony później na 25 lat. Wyszedł na wolność po 20 latach i niedługo po opuszczeniu więzienia popełnił kolejną, bardzo podobną do pierwszej zbrodnię. Łódzka Policja i KGP dziękują wszystkim telewidzom za pomoc.

Także w innej, prezentowanej już w naszej „Kronice", sprawie zabójcy 5 młodych chłopców, wpłynęło wiele cennych informacji od telewidzów. Niestety, zboczeniec ten nadal przebywa na wolności i po kilku miesiącach przerwy ponownie dał o sobie znać.

22 lutego br. w Poznaniu namówił 12-letniego chłopca, by zawrócił z drogi do szkoły i wpuścił go do mieszkania. Pretekstem był jakiś kwit od karty gwarancyjnej, po który rzekomo wysłali go rodzice chłopca. Kiedy 12-latek chciał zatelefonować do mamy do pracy, by dowiedzieć się gdzie ten kwit się znajduje, nieznajomy bardzo się speszył i szybko wyszedł nie robiąc dziecku krzywdy. Zabrał jedynie z mieszkania pudełko z 4 dolarami i medalami pamiątkowymi wybitymi z okazji 200-lecia Australii.

4 dni później, 26 lutego br., najprawdopodobniej ten sam mężczyzna proponował po kolei kilku chłopcom, by wrócili do domu po kartę gwarancyjną. Za każdym razem twierdził oczywiście, że został wysłany przez rodziców nagabywanych dzieci. Działo się to na osiedlu Piastowskim w Poznaniu. Kilka kolejnych niepowodzeń nie zraziło bandyty. W końcu przed blokiem nr 108 zaczepił 12-letniego Krzysia. Ten uwierzył nieznajomemu i zaprosił go do domu. Zboczeniec udusił chłopca, a następnie zabrał z mieszkania 1 700 tys. zł, 120 dolarów USA, włoskie złote łańcuszki, jeden miał wisiorek z głową Nefretete na okrągłej blaszce, drugi był w kształcie piłeczki.

Po upływie 10 dni kolejny atak nastąpił we Wrocławiu. Poszukiwany mężczyzna widywany był najczęściej z teczką dyplomatką w kolorze czarnym lub jasno-brązowym, na głowie miał charakterystyczną czapkę z daszkiem i nausznikami zapinanymi na zatrzaski. Prezentujemy portret pamięciowy mordercy.

Z OSTATNIEJ CHWILI:

W Poznaniu ujęty został jeden z najniebezpieczniejszych przestępców, poszukiwany w rozpracowaniu operacyjnym „Zemsta". 40-letni mieszkaniec Zielonej Góry wyjawił okoliczności zabójstw pięciu nieletnich chłopców oraz innych czynów na tle seksualnym. Szczegóły wkrótce.

kirz.

OSTATNI KURS

27 lutego br. 5 km od trasy Warszawa—Białystok w okolicy wsi Wiśniewo w woj. ostrołęckim przypadkowy przechodzień zainteresował się porzuconą w lesie taksówką. Pomarańczowy polonez był otwarty, a kluczyki znajdowały się w stacyjce. Pozostawione na śniegu ślady butów prowadziły w głąb lasu. Mieszkaniec okolicznej wioski ruszył tym tropem i po chwili natknął się na zakrwawione zwłoki mężczyzny.

Policjanci szybko ustalili, iż ofiarą zbrodni jest kierowca porzuconej taksówki. Lekarz stwierdził, że zgon nastąpił dzień wcześniej, a więc 26 lutego br. Przyczyną śmierci były rany zadane nożem oraz pochodzące z broni palnej.

Pies tropiący poprowadził przez las w kierunku miasta Brok. Po drodze odkrył zakrwawioną kurtkę męską koloru stalowego z naszytymi kieszeniami i czarnym kołnierzem, ortalionową bardzo zniszczoną torbę z metką zawierającą napis „Zacpak" oraz pistolet. Wszystko to sprawcy bandyckiego napadu porzucili podczas ucieczki.

Mężczyznę w podobnej kurtce wraz z dwoma kolegami widziano 26 lutego na postoju taxi przy moście w Wyszkowie. Pytał jednego z taksówkarzy, ile zapłaci by za kurs do Dybek (miejscowości położonej niedaleko miejsca znalezienia zwłok).

Ci sami trzej mężczyźni około godziny 16.00 tego dnia widziani byli na postoju taxi przy dworcu w Wyszkowie. Tutaj wsiedli do pomarańczowego poloneza z numerem bocznym „3". Może ktoś rozpozna któregoś z nich na prezentowanym portrecie pamięciowym?

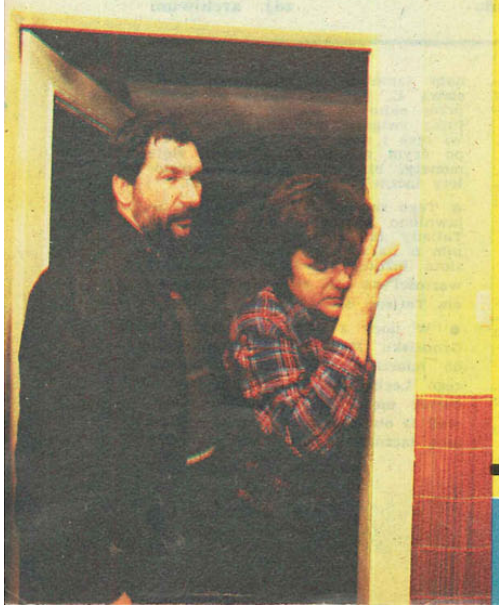

TRZY OBLICZA GWAŁCICIELA

Studentka piątego roku pedagogiki Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie Jolanta Tchórz była całkowicie pochłonięta nauką i pomocą dzieciom ułomnym. Jej kontakty towarzyskie poza uczelnią ograniczały się do kilku zaprzyjaźnionych koleżanek. 22 stycznia br. odwiedziła jedną z nich. W akademiku zostawiła kartkę, że wróci o 21.00.

Kiedy minęły dwa dni, a Jola nadal nie wracała, jej koleżanki z pokoju stwierdziły, że musiało stać się coś złego. Zgłosiły zaginięcie Jolanty Tchórz Policji. Funkcjonariusze szybko ustalili, kogo odwiedzała tego dnia Jola. Jej koleżanka mieszkała bardzo blisko akademika przy ul. Leszka Czarnego 7 w Lublinie. Spenetrowano więc dokładnie odcinek drogi łączący tę ulicę z miasteczkiem studenckim. Tuż przy akademiku „Helios", a więc tym, w którym mieszkała Jolanta Tchórz, natrafiono na zamaskowane zwłoki dziewczyny. Przed śmiercią została zgwałcona.

Podobno różne próby gwałtów miały już miejsce w tej okolicy. Policja zwraca się z prośbą do wszystkich studentek, które były zaczepiane w okolicy akademików w Lublinie, o zgłoszenie tych przypadków.

Jednocześnie przypomniano sobie inną sprawę sprzed 2 lat. 5 lutego 1989 r. studentka KUL Magda T. udająca się na poranną mszę została zaatakowana płytą chodnikową tuż przed kościołem. Działo się to w dzielnicy Czechów. Ogłuszona uderzeniem w tył głowy została w bestialski sposób zgwałcona. Mimo sporządzonego na podstawie jej zeznań portretu pamięciowego, sprawcy tego gwałtu do dzisiaj nie ustalono.

11 listopada 1989 r. anonimowy obywatel udzielił pomocy jednej ze studentek, którą napadł niezidentyfikowany gwałciciel. Lubelska Policja zwraca się z ogromną prośbą do tego mężczyzny o kontakt.

Trzeci z prezentowanych portretów pamięciowych przedstawia ekshibicjonistę, który często prezentuje swoje wdzięki w okolicy akademików. Może ktoś rozpoznaje choćby jednego z tych mężczyzn?

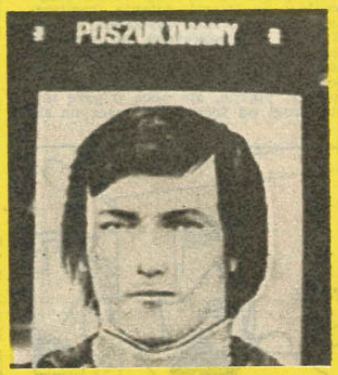

ŚMIERTELNY NAPAD

Około 19.00 ktoś zapukał do drzwi. Pani Tilleman podeszła by otworzyć. Jej mąż właśnie kończył kolację w sąsiednim pokoju. Tuż po przekręceniu zamka kobieta znalazła się na podłodze. Nie zdążyła nawet krzyknąć, gdy rzuciło się na nią trzech młodych mężczyzn. Została obezwładniona gazem i straciła przytomność. Udało jej się jednak zapamiętać wygląd jednego z napastników. Miał około 20—25 lat, 170—175 wzrostu, był średniej budowy ciała, ciemnoblond włosy miały rudawy odcień. Ubrany był w brązową kurtkę skórzaną i dżinsy. Mężczyzna ten, wraz z dwoma kolegami, po obezwładnieniu kobiety wpadł do pokoju. Biciem i kopaniem doprowadził do utraty przytomności pana Tillemana, a następnie cała trójka przewróciła mieszkanie we Wrocławiu do góry nogami.

Pan Tilleman był emerytowanym jubilerem. Ostatnio usiłował sprzedać trochę złota. Prawdopodobnie to spowodowało, że zainteresowali się nim bandyci, którzy zaczęli go śledzić, a 10 kwietnia ub.r. wtargnęli do jego mieszkania. W wyniku bestialskiego pobicia pan Tilleman zmarł.

Bandyci ukradli m.in. złoty sygnet męski z brylantem, tzw. angielski, brylant miał charakterystyczne wystrzępienia, złoty pierścionek z brylancikami, tzw. markizę, złotą, grawerowaną obrączkę produkcji izraelskiej, złoty pierścionek z brylancikami, unikalny, wykonany z dwu złotych spinek do koszuli, a także komplet 6 srebrnych łyżeczek do herbaty z ornamentem.

Pani Tilleman w kilka minut po napadzie odzyskała przytomność i zaalarmowała sąsiadów. Jej mąż już wówczas nie żył.

Ktokolwiek mógłby udzielić informacji w tej, jak i pozostałych przedstawionych powyżej sprawach, proszony jest o kontakt z Komendą Główną Policji, naszą redakcją lub najbliższą jednostką Policji.

zdj. i reprodukcje autor

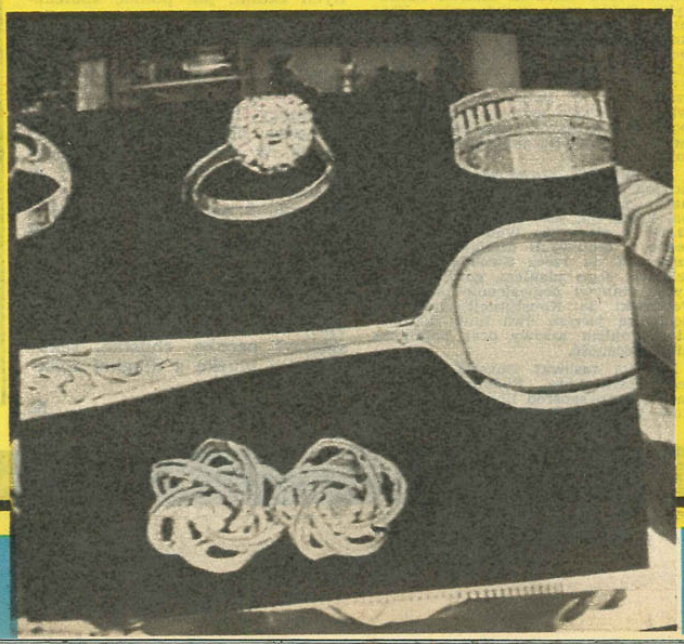

ODZYSKANY OBRAZ

W nocy z 5 na 6 listopada 1989 r. nieznani sprawcy włamali się do Muzeum im. Adama Mickiewicza w Śmiełowie, woj. kaliskie, będącego filią Muzeum Narodowego w Poznaniu.

Łupem przestępców padły przedmioty związane z naszym wielkim poetą oraz obrazy autorstwa m.in.: Klengela, Harmsa, Catela, Velde'a. Łączna wartość strat wyniosła ponad 250 mln złotych.

— Informacja o włamaniu i kradzieży eksponatów z muzeum, podobnie jak i inne sygnały o zaborze dzieł sztuki, uruchomiła działania Policji w całym kraju — stwierdził naczelnik wydziału w Biurze Operacyjno-Rozpoznawczym KGP podinsp. dr Jan Rupiński. — Powiadomione zostały służby graniczne, galerie, sklepy „Desy" itp. W ramach współpracy Interpolu przekazaliśmy komunikat o skradzionych przedmiotach m.in. policji niemieckiej.

Dość często zdarzało się, że zrabowane w kraju dzieła sztuki odnajdywano w krajach Europy Zachodniej. Tak stało się m.in. z naczyniami liturgicznymi skradzionymi z Muzeum Archidiecezji w Poznaniu, 11 obrazami spośród 13 wyniesionych z łódzkiego muzeum itp.

Wkrótce nadeszła pomyślna informacja z Berlina. Do jednego z domów aukcyjnych zgłosił się klient oferujący do sprzedaży obraz Catela pt. „Krajobraz włoski". Właściciel sklepu, wiedząc, że został on skradziony w Polsce, poinformował o tym fakcie miejscową policję. Prowadzący postępowanie zwrócili się do KGP o nadesłanie fotografii oraz szczegółowego opisu poszukiwanego obrazu.

Nadesłane z Polski materiały pozwoliły zidentyfikować obraz „Krajobraz włoski" i odzyskać go. 8 marca br. minister sprawiedliwości landu berlińskiego prof. Limbach przekazał naczelnikowi podinsp. dr. J. Rupińskiemu obraz.

— W czasie pobytu w Niemczech zorientowałem się, że jest szansa odzyskania innych obrazów zrabowanych z muzeum w Śmiełowie — powiedział podinsp. Rupiński.

jur.
zdj. K. Mokrzyszewski

USA

GODZINA POLICYJNA W ATLANCIE

Władze Atlanty nie mogąc poradzić sobie z niepokojąco rosnącą przestępczością i handlem narkotykami, nie miały innego wyjścia, jak tylko zabronić młodzieży wychodzenia w nocy na ulice.

Nazywa się Thomas F. 17 kwietnia 1990 r. skończył 16 lat. Thomas jest jednym z uczniów szkoły średniej w Dunwoody na przedmieściu Atlanty (stan Georgia). W czwartek 22 listopada ubiegłego roku, zamiast wrócić jak zwykle do domu około godz. 19.00, Thomas poszedł powłóczyć się z kilkoma kumplami z drużyny piłkarskiej do Atlanta Underground, starej dzielnicy miasta, przebudowanej w 1989 r. i przystosowanej na potrzeby licznych sklepów, restauracji i sal do gry w kręgle...

Kiedy Thomas wychodził o godz. 23.25 z pizzerii „Leny's" został zwyczajnie zgarnięty przez policję. Po sprawdzeniu dokumentów tożsamości odwieziono go do Ośrodka Opieki nad Dziećmi i Młodocianymi, czegoś w rodzaju ośrodka dla młodocianych uciekinierów. Ojciec Thomasa przyszedł po niego w godzinę później. Tym razem obyło się bez mandatu, ale ojciec dostał ostrą reprymendę za to, że pozwolił synowi przebywać po godz. 23.00 na ulicy, mimo obowiązującej w mieście godziny policyjnej dla młodzieży poniżej 17 roku życia. Do 23.00 w dni powszednie, do 24.00 w soboty i niedziele.

19 listopada weszło w życie zarządzenie o godzinie policyjnej dla młodzieży w Atlancie. Od tego czasu policja zatrzymała już dziesiątki nieletnich. Patrole policyjne penetrują dzielnice Atlanta Underground, ale także stacje metra, nocne kluby, bary oraz inne podejrzane miejsca, gdzie często odbywa się handel crackiem (narkotyk — rodzaj wzmocnionej kokainy).

Scenariusz często zmienia się. Jeśli policja ma na to czas, młody amator hulanki odprowadzany jest pod eskortą do domu. Jeśli wykroczenie stwierdzone zostaje zbyt daleko od jego domu, zostaje zatrzymany w komisariacie policji do czasu, aż zostanie, pod okiem policjanta, przekazany jednemu z rodziców. Rodzicom grozi grzywna do 1000 dolarów, w przypadku zaś recydywy — dwa miesiące odsiadki lub miesiąc pracy na rzecz miasta.

„Zarządzenie podpisane przez burmistrza Maynarda Jacksona zostało wydane w interesie naszej społeczności. Jego celem jest skuteczna ochrona naszych pociech, popadających dzisiaj w masę najprzeróżniejszych tarapatów. Jest to kolejne narzędzie w walce z handlem narkotykami — wyjaśnia radna miejska, pani Davetta Johnson, pomysłodawczyni. — Zresztą większość rodziców tak właśnie to pojęła. Nawet młodzież uważająca, że zarządzenie jest wymierzone przeciwko niej, przyznaje to. Wiedzą, że chcemy ich chronić, a nie prześladować."

Dla poparcia tej tezy radna przypomina, że miasto Atlanta, zamieszkane przez 2,7 mln obywateli, w tym 30 proc. czarnoskórych (64 proc. w centrum miasta) nie ma nic wspólnego z przepięknymi dzielnicami Upper East State na Manhattanie. Miasto jest piękne, ale nocą o parę minut drogi od śródmieścia zaczyna się obszar „strefy". To „Blads Runner" albo „Robocop". W ciągu ostatnich dwóch lat w incydentach mniej lub bardziej związanych z handlem narkotykami zostało zabitych 27 nastolatków, przeważnie czarnoskórych. Stąd godzina policyjna. Podobnie zresztą jak w Detroit (stan Illinois), Panora (stan Iowa), czy Newark (stan New Jersey). Tam mają te same problemy (zaniedbania urbanistyczne, obumieranie centrum miasta, narkotyki). Takie samo rozwiązanie: „Kids under control", tj. „dzieciaki pod kontrolą". Zamyka się dzieci i wypuszcza psy. W mieście Camden (w stanie New Jersey) z powodu rabunków i wszelkiego rodzaju przemocy, szczególnie w świąteczne wieczory, władze miejskie wprowadziły godzinę policyjną na okres 3 dni święta zwanego w krajach anglosaskich Halloween.

„W państwie prawa ta godzina policyjna jest obrzydliwością; wychodzi na to, że podejrzana jest każda osoba, która nie jest u siebie po godz. 23.00" — stwierdza Wade Henderson, jeden z czołowych działaczy Stowarzyszenia na rzecz Swobód Obywatelskich. Jego zdaniem, godzina policyjna stanowi pogwałcenie pierwszej Poprawki do Konstytucji. Do tego dochodzą jeszcze dwa inne zagrożenia: problem rasowy oraz policyjna nieskuteczność.

Kwestia rasowa? Davetta Johnson jest czarnoskóra. Podobnie zresztą jak 13 osób spośród liczącej 19 członków Rady Miejskiej, która podjęła taką uchwałę. W Atlancie, gdzie dominuje jeszcze postać Andrew Younga, jednego z rzadkich przywódców czarnoskórych uznawanych w całym kraju, polityczna wspólnota czarnoskórych najwyraźniej zdecydowała się wziąć swój los we własne ręce, nie bez poparcia klasy średniej, również w większości czarnoskórej. Inna rzecz, że z historycznego punktu widzenia ustawodawstwo o włóczęgostwie zawsze dotykało najdotkliwiej najbiedniejszych. Wprowadzenie godziny policyjnej dotyczy głównie — co oczywiste — dzieci pochodzenia latynoskiego oraz dzieci czarnoskórych Amerykanów. To właśnie u nich dyscyplina rodzinna jest najsłabsza i najsilniejsza pokusa do ucieczki z domu.

Aspekt policyjny? Podstawowym obowiązkiem stróżów porządku publicznego jest ochrona nieletnich przed handlarzami narkotykami. Oczyszczanie przez tworzenie próżni jest sposobem kamuflowania problemu. Nie jest to sposób na jego rozwiązanie: wymagałoby to przede wszystkim stworzenia solidnych programów wychowawczych oraz polityki zatrudnienia lepiej dostosowanej do potrzeb. Zamiast tracić czas na sprawdzanie tożsamości młodych ludzi wyprowadzających psy po północy, należałoby raczej ścigać prawdziwych przestępców, handlarzy narkotykami oraz gwałcicieli i bandytów rabujących z bronią w ręku. „Godzina policyjna jest koniecznością. Nie zwalnia nas jednak od poszukiwania innych rozwiązań. Jak np. zatrudnienia urzędników socjalnych, którzy pomagaliby rodzinom nie mającym czasu na zajmowanie się swoimi dziećmi" — przypomina Eldrin Bell, szef tutejszej policji. Ale skąd wziąć pieniądze? „Nie dysponujemy środkami na realizację poważnych programów walki z narkomanią czy analfabetyzmem, podobnie jak na autentyczną politykę mieszkaniową" — przyznaje Davetta Johnson.

Okres 10 lat sprzeciwu wobec wzrostu podatków, a zatem kompresji wydatków, sprawił, że państwo federalne zrzuciło na władze miejskie pewną liczbę ważnych zadań, jak pomoc społeczna, tanie mieszkania, ubezpieczenia — nie przyznając im odpowiednich środków. Rezultat: duże miasta, jedno po drugim, przymykają oczy na eskalację przemocy, brak poczucia bezpieczeństwa obywateli, czy narkomanię. W dziesięć dni po wprowadzeniu godziny policyjnej w Atlancie, w noc Halloween w Bostonie 8 młodocianych bandytów pobiło, zgwałciło i zadźgało nożem 26-letnią Murzynkę. Kiedy policjanci odnaleźli ciało, było ono tak zmasakrowane, że aby zakryć rany, musieli prosić jej ojca, również policjanta, by dostarczył perukę, chustkę, rękawiczki i bluzkę z długimi rękawami.

B.

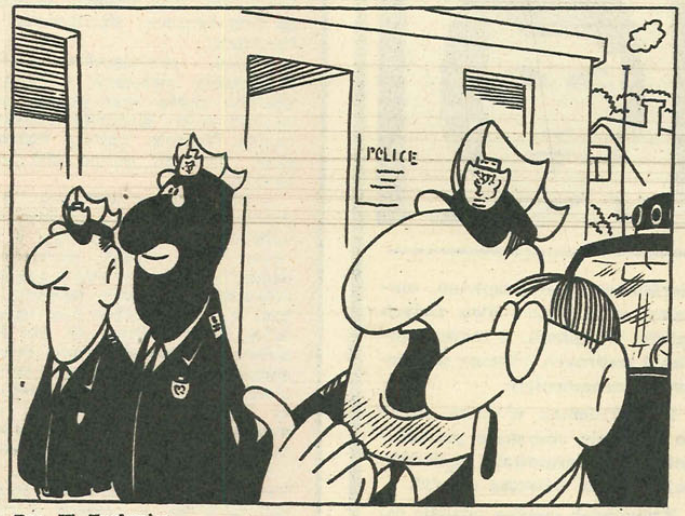

Rys. W. Fuglewicz

Brazylia

POTĘPIEŃCY

Setki tysięcy dzieci skazanych jest na przestępczość. Tylko nielicznym uda się tego uniknąć — pisze Denis Hautin-Guirot, korespondent dziennika LE MONDE w Rio de Janeiro.

20 z około 60 milionów brazylijskich dzieci żyje w nędzy; 9 milionów — to dzieci opuszczone, pozostawione samym sobie. Przynajmniej pół miliona uprawia prostytucję, a ponad tysiąc zostało w ubiegłym roku zabitych.

Za każdą z tych ofiar kryje się tragedia przeżywana codziennie przez chłopców i dziewczynki z dzielnic slumsów Sao Paulo, innych dużych miast Brazylii, czy około pięciuset favelas (dzielnic nędzy) Rio de Janeiro. Jeśli nie należą oni do zorganizowanych gangów, mogą przetrwać jedynie tworząc bandy.

Wszyscy ci młodzi nędzarze padają także oczywiście ofiarą pracodawców bez skrupułów, którzy wykorzystują ich za kilka cruzeiros lub nawet nic im nie płacą. Według Brazylijskiego Instytutu Statystyki (IBGE), 2 miliony dzieci pomiędzy 10 a 17 rokiem życia pracuje bez zapłaty, a 1,7 miliona otrzymuje połowę najniższej pensji, czyli odpowiednik około 150 franków.

Szwadrony śmierci, czasami związane z policją i niektórymi grupami społeczno-zawodowymi lub po prostu opłacane przez bandytów, urządzają dosłownie polowania na dzieci ulicy. Baixada Fluminense w północnej części Rio de Janeiro, bije absolutnie pod tym względem wszelkie rekordy przestępczości.

Minister ds. zdrowia i dzieci, Alceni Guerra, wywołał zresztą w połowie stycznia prawdziwą sensację mówiąc po raz pierwszy publicznie o tych komandach zabójców i ich cichych wspólnikach i oświadczając, że zostanie położony kres ich „barbarzyńskim" procederom. Przewodniczący jednego ze stowarzyszeń handlowców z Rio de Janeiro. Silvio Cunha, cynicznie oświadczył w radio dwa dni wcześniej, że „zabójstwo każdego pivete (dziecko ulicy) jest korzystne dla społeczeństwa".

Andrea Luiz ma siedemnaście lat. Gdy miał dziesięć, dwa lata po śmierci ojca, matka „zgubiła" go w pociągu między Sao Joao de Meriti i Rio de Janeiro. Zamieszkał wówczas na jednym z morros — tych granitowych wzgórz, których pełno jest w mieście — położonych najbliżej dworca Rio de Janeiro. Jego wujek, policjant, nauczył go posługiwania się bronią. Toteż banda, która go zaangażowała, powierzyła mu funkcję stojącego na czatach. „Od północy do 8.00 rano" stał przy wejściu do faveli, obserwując wchodzących i wychodzących. Szefowie zaopatrywali go w kokainę, by mógł to wytrzymać i aby mieć go w ręku. Urozmaicał tę smutną codzienność kradzieżami z bronią w ręku w południowej części miasta. Przyznaje się do „popełnienia w tym czasie pięciu morderstw".

Para ma dopiero dwanaście lat. Jego matka „zgubiła" go w supermarkecie. Miał wówczas zaledwie pięć lat. Został skazany na śmierć przez szefa pewnej bandy z powodu jakiejś ponurej historii ze skradzionym, zgubionym czy pożyczonym pistoletem, i z powodu głupiego, choć tragicznego, wyzwania. Bandyta, który go poszukuje, niejaki Nandinho, przewodzi małej bandzie z centrum miasta. Jest to „twardziel" mający na koncie przynajmniej cztery morderstwa. Ma dwanaście lat.

Solimar Santos była o pięć lat młodsza, gdy opuściła swą rodzinę, „która nie miała już nic na życie". Zaczęła „uprawiać prostytucję, kraść gdzie się dało, by przeżyć i dostarczyć domownikom". Solimar spędziła 8 lat na ulicy, zmieniając co trzy miesiące dzielnicę ze strachu „przed policjantami, grupami eksterminacyjnymi i pogróżkami innych band".

Dziś uważa, że im wszystkim „potrzebny jest łut szczęścia, żeby się z tego wyrwać". Andrea, Para i Solimar mieli to szczęście. Wstąpili do szkoły samby Flor de Amantha (Kwiat jutra), będącej pomysłem zrealizowanym dzięki wielkiej sile przekonywania Joaozinho Trinta, najbardziej znanego w Brazylii animatora karnawału.

Joaozinho Trinta pragnie zorganizować wokół szkoły „coś naprawdę atrakcyjnego dla młodych należących do innego świata, których resocjalizacja byłaby niemożliwa w tradycyjnych ramach": centrum kształcenia, mieszkania, wystawy połączone ze sprzedażą karnawałowych pamiątek. „Trzeba podejść do nich w odmienny sposób — dodaje — aby zapomnieli o swoich marzeniach zostania bogatymi, budzącymi strach i szanowanymi bandytami, podczas gdy kończą najczęściej z kulą w głowie zanim zdążą dojść do pełnoletności". Aby osiągnąć ten cel, Joaozinho Trinta zdołał także przekonać wiele przedsiębiorstw, związków zawodowych związanych z turystyką oraz handlarzy, coraz bardziej przerażonych i szkodowanych z powodu wzrostu przestępczości i mniejszej ilości turystów.

Pomaga mu Pedro Paulo, który zna dobrze dzieci ulicy. Ten 32-letni adwokat sam spędził tam 18 lat, żyjąc z kradzieży, zanim trafił mu się ów „łut szczęścia". Stroną administracyjną projektu zajmuje się pełen entuzjazmu urzędnik, Carlos Eduardo Bortolot. Ten 34-letni mieszkaniec Rio de Janeiro, który dotychczas nie cierpiał karnawału, pomaga teraz jego głównemu organizatorowi i po raz pierwszy w życiu będzie w nim aktywnie uczestniczył.

Podejmowane są próby podobne do tej wyżej opisanej. Takie jak stowarzyszenie Meninos da Rua (Dzieci ulicy), czy projekt dyrektora szkoły samby „Rocinha", Luiza Carlosa Batisty, który z kolei chce otworzyć bramy największej dzielnicy nędzy Rio de Janeiro (co najmniej 200 tys. mieszkańców) dla... turystów. Śmiałe wyzwanie, mające według jego promotora znieść enklawę jaką stanowią morros i dać mieszkańcom „jakieś źródło utrzymania i pomysł; przywrócić im poczucie dumy". Związany przez swego ojca ze światem hazardu, Luiz Carlos Batista nie ma jednak zamiaru bawić się w „ojca chrzestnego", choć nie ukrywa pewnych „ambicji politycznych".

Wszystkie te pomysły inspirowane przez osoby prywatne, organizacje charytatywne lub nawet bankierów nielegalnej loterii Jogo do bicho, niekoniecznie cieszą się poparciem władz Brasilii. Ale rząd prezydenta Fernando Mollora, który podjął decyzję o stworzeniu brazylijskiego centrum na rzecz dzieci i młodzieży, ma zamiar pozostawić o wiele więcej miejsca dla inicjatyw lokalnych, prywatnych lub publicznych kosztem działań scentralizowanej biurokracji. Zważywszy, że najniższe miesięczne wynagrodzenie wynoszące obecnie 12 325 cruzeiros (około 300 franków) zostało tak obliczone, by wystarczyło na miesięczne wyżywienie jednej osoby, podczas gdy przeciętna rodzina liczy pięciu członków, jest to tak czy owak wyścig z czasem. **B.**

MACKI OŚMIORNICY

ZSRR

„Prawitielstwiennyj Wiestnik" (nr 5/91) opublikował rozmowę z szefami specjalnego Wydziału MSW ZSRR Do Walki ze Zorganizowaną Przestępczością A. Gurowem i G. Czebotariewem. Oto fragmenty ciekawszych wypowiedzi:

„Przestępca, który płaci „za usługę" 200 tys. rubli jest w naszym mniemaniu jedynie drobnym aferzystą. Doświadczenia Zachodu wskazują, że prawdziwy mafioso obraca milionami i to za pośrednictwem banków. Działa nie sam, lecz z całym gangiem. My wkraczamy w ten etap, pojawiają się grupy przestępcze od kilkudziesięciu do kilkuset osób".

Przestępcy radzieccy coraz częściej szukają kontaktów z mafiami zachodnimi. Liczą bowiem na większe zyski za granicą. Wielu z nich dysponuje już kontami w zagranicznych bankach. Tam „piorą" brudne pieniądze. Jedna tylko kooperatywa (spółdzielnia, lecz w zasadzie bliższa naszej spółce z ograniczoną odpowiedzialnością — MAT) produkująca towary sprzedawane na Zachód potrafi w ciągu roku „wyprać" 100 mln rubli.

Zdaniem A. Gurowa przestępcy radzieccy wykorzystali już tradycyjne kontakty z Polską. „Nie bez znaczenia — twierdzi naczelnik wydziału do walki ze zorganizowaną przestępczością — okazała się również gotowość wielu polskich grup przestępczych do manipulacji towarami i do przerzucania ich z Zachodu do nas i odwrotnie. Część naszych macherów ustawiła się w Polsce np. dzięki zawarciu fikcyjnych małżeństw. Taka legalizacja pobytu ułatwia swobodę kontaktów i wyjazdy na Zachód".

Specjaliści radzieccy sądzą, że chodzi głównie o przerzut kradzionych w Europie Zachodniej samochodów i machinacje walutowe. Generał Czebotariew widział na jednym z polskich bazarów grupę młodzieńców sprzedających za dolary całe paczki 50- i 100-rublówek. Pracownicy organów ścigania uważają, że decyzja prezydenta Michaiła Gorbaczowa o wycofaniu z obiegu tych właśnie banknotów spowodowała odcięcie mafii jednej z jej licznych macek. Za granicą znajdowało się bowiem około 12 mld rubli, które mafiosi zamierzali w dogodnym dla siebie momencie puścić w obieg w ZSRR, by wykupować złoto, akcje prywatyzowanych przedsiębiorstw, kooperatywy itp.

A. Gurow potwierdził, że obywatel radziecki zamieszany był również w zabójstwa 2 polskich gangsterów. Tłem tej zbrodni były nieporozumienia związane z podziałem łupów.

„Szybko znaleźliśmy wspólny język z polskimi kolegami — podkreśla G. Czebotariew. — Kontakty te pozwoliły na ustalenie, iż działają duże struktury przestępcze, których likwidacja wymaga współdziałania z polską a być może również niemiecką policją. Na terenie Polski działa kilka gangów z udziałem obywateli radzieckich".

Zdaniem A. Gurowa mafia z ZSRR pojawiła się również w Ameryce. Uchodzi tam za dobrze zakonspirowaną, działającą ze szczególnie zimną krwią. Intelektualnie jej członkowie stoją wyżej od tamtejszych kolegów po fachu. „Rozmawiałem niedawno z pewnym specjalistą amerykańskim przebywającym w Moskwie. Powiedział, że w Brighton Beach w USA, gdzie działa rosyjska mafia, zaczęto rekrutować do policji byłych obywateli radzieckich".

Mafia umacnia się jednak przede wszystkim we własnym kraju. Świat przestępczy czeka z niecierpliwością na wprowadzenie w ZSRR rynku. Również tworzenie tzw. stref wolnego handlu grozi erupcją zorganizowanej przestępczości. W dodatku gangsterzy coraz wyraźniej przenikają na wyższe piętra władzy, stając się np. deputowanymi.

W tym kontekście nasilenia się zorganizowanej przestępczości sytuacja milicji jest wyjątkowo trudna. „W naszym wydziale pracuje 80 osób i często są one po prostu bezsilne — informuje A. Gurow. — W dodatku około 40 proc. czasu zajmuje nam robota papierkowa. Mimo to w ubiegłym roku zwróciliśmy państwu ponad 30 mln rubli w gotówce, dziesiątki milionów w sprzęcie elektronicznym, miliard w kosztownościach."

W celu wzmocnienia walki ze zorganizowaną przestępczością zdecydowano powołać 12 republikańskich grup do walki z mafią i korupcją. Powstały już one w republikach Azji Środkowej, rozmowy w sprawie ich utworzenia prowadzone są również na Białorusi i Ukrainie.

Ale to nie wystarcza. Niezbędny jest silny wydział analityczny zajmujący się m.in. prognozowaniem negatywnych zjawisk, potrzebne są odrębne sekcje do walki z terroryzmem i handlem bronią. Potrzebna jest też, zdaniem A. Gurowa, ruchoma grupa śledcza i osobny wydział ds. narkobiznesu. Na przeszkodzie stoi brak środków finansowych i technicznych, a także fakt, że obok MSW zwalczaniem zorganizowanej przestępczości zajmuje się oddzielnie KGB. Piętą achillesową jest jednak zacofanie informatyczne.

oprac. MAT

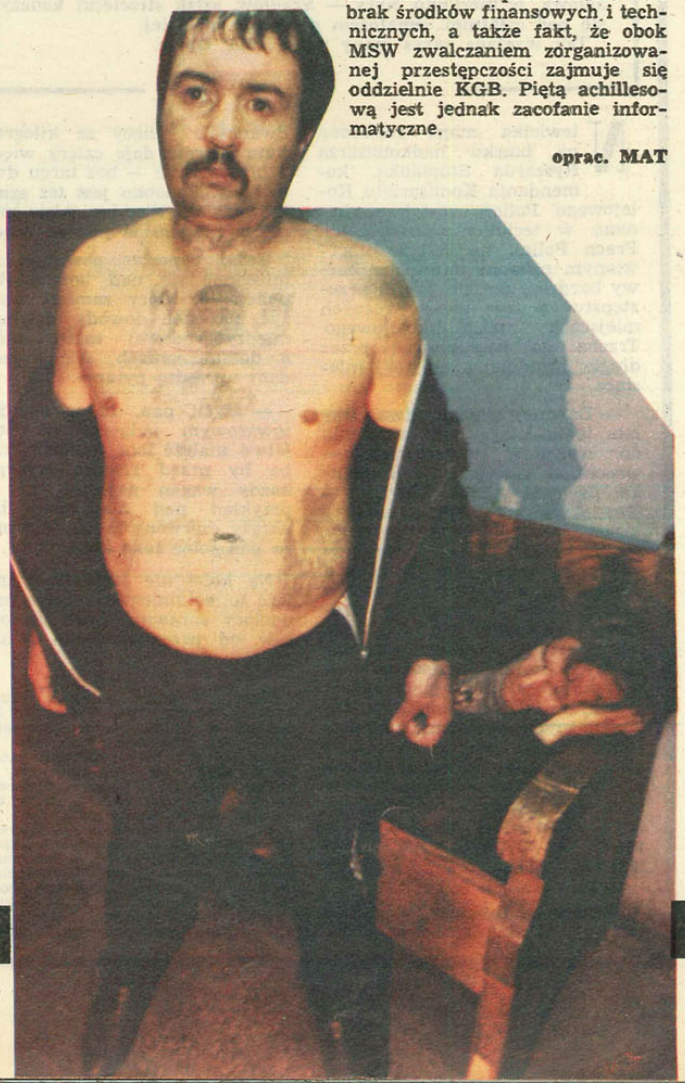

WĘZEŁ

KONKURS NA REPORTAŻ O PRACY POLICJI

zdj. arch.

Na trasie do Wrocławia rejon kończy się w Przeczy, do Kędzierzyna-Koźla w Jesionej, a do Częstochowy pokrywa się z granicą województwa. Te szlaki są najważniejsze, bo biegną z daleka i prowadzą daleko. Na pozostałych trasach jeździ mniej pociągów. W kierunku Kluczborka rejon zamyka stacja Jełowa, w kierunku Nysy — Szydłów, szlak strzelecki kończy się pod ostatnim semaforem na ziemi opolskiej.

Tak wygląda zarys mapy węzła PKP Opole.

Niewielka mapa rozłożona na biurku nadkomisarza Ryszarda Słupianka, komendanta Komisariatu Kolejowego Policji, została wykonana w technice czarno-białej. Praca Policji na terenie unerwionym nitkami torów ma barwy bardziej złożone. Węzeł przestępstw zaciąga się w różnych miejscach węzła kolejowego. Trzeba go rozsupływać przez długie tygodnie, a często i miesiące.

— Dawniej, jeszcze dwa, trzy lata temu, plagą były włamania do wagonów towarowych — wspomina zastępca R. Słupianka, aspirant Alfred Śliwiak. — Ginęło wszystko. Sprzęt elektroniczny, alkohol, owoce cytrusowe, żywność i odzież. Teraz, gdy na rynku wszelkiego dobra pod dostatkiem, a większość towarów przewozi się transportem drogowym, zmieniła się struktura przestępstw. Królują kieszonkowcy. Obrabiają pasażerów w poczekalniach i na peronach, przede wszystkim jednak w dalekobieżnych pociągach. Z majątku kolejowego nie zmniejszył się tylko popyt na miedź. Ostatnio w Groszowicach wyparowały nocą dwa bębny kabla miedzianego. Duże były, więc złodzieje pocięli je na miejscu, a potem wywieźli.

— Po co komu miedź?

Komisarz Słupianek uśmiecha się: — W skupie złomu płacą dwanaście tysięcy za kilogram, huta Łabędy daje cztery więcej, a prywaciarze — bez targu dwadzieścia. Podobno jest też szmuglowana do Niemiec, gdzie można za nią dostać jeszcze więcej.

Teraz reporter powinien uśmiechnąć się nad bezradnością policjanta, który zamiast wyłożyć na stół dowody działania międzynarodowej mafii, mówi o domniemaniach. Ale komendant uprzedza pytanie:

— Myśli pan, że w składzie towarowym jadącym za Odrę łatwo znaleźć tonę miedzi? Trzeba by przed granicą wysypać każdy wagon pszenicy, bo na przykład pod nią może być ukryty czerwony metal. Wyobraża pan sobie taką kontrolę?

Na kolei nie jest łatwo znaleźć to, co zmieniło miejsce przy pomocy sprawnych rąk fachowców od przemieszczania przedmiotów.

Kilka lat temu zniknęły cztery kartony wranglerów. Transport był nadany w Korei. Wagon przejechał przez cały Związek Radziecki, do Opola dotarł z nienaruszonymi plombami. Kiedy już się wydawało, że zagadkę trzeba odłożyć do rejestru spraw nie wyjaśnionych, dżinsy odnalazły się w Kieleckiem. Jak? Za dużo ludzi w jednym miasteczku chodziło w takich samych spodniach. Kielecczyzna to region, gdzie nadal prawa buszu działają szczególnie mocno. Komendant Słupianek pojechał niedawno na akcję do Włoszczowej, szukać towaru, który ulotnił się po drodze do Opola. Policjanci węszyli za „zgubą", a w tym czasie pod osłoną nocy fachowcy zabrali z platformy wagonu nową „Wołgę". Ściągnęli ją do lasu, rozebrali na części i ślad po nich zaginął.

Kolejowi specjaliści potrafią być bezczelni. W Przyworach, niedaleko Opola, dwójka młodych chłopców dobrała się do wagonu z zagranicznymi paczkami w noc Bożego Narodzenia, kiedy ludzie szli na pasterkę. Był w dodatku rok osiemdziesiąty pierwszy, kilkanaście dni po wprowadzeniu stanu wojennego. Zostali szybko złapani, bo pociąg stał na bocznicy. Gdyby skład odjechał przed ujawnieniem kradzieży, można by młodzieńców szukać długo.

Dlatego w pracy Policji na kolei najważniejsze jest określenie miejsca, gdzie popełniono przestępstwo, co często bywa bardzo trudne. Jeśli w pociągu jadącym z Gdańska pasażer obudzi się w Opolu i stwierdzi, że nie ma portfela, to nie wiadomo, czy złodzieja szukać na miejscowym dworcu, czy we Wrocławiu, a może w Poznaniu? Gdy Policja zna miejsce, praca operacyjna nie jest już poszukiwaniem igły w splocie torów.

Aspirant Śliwiak długo będzie pamiętał noc z 17 na 18 stycznia 1990 roku. Pojechał wtedy do Katowic tropem swetrów, które zginęły w drodze do Opola. Tej nocy w węźle katowickim włamywacze otwierali wagony czterdzieści razy. W trzykrotnie sprawdzanym składzie znajdowano zerwane plomby. Złodzieje byli wybredni. Nie odpowiadały im komputery, więc zostawiali je koło wagonów. Funkcjonariusze zebrali kilka kartonów włoskich zupek adresowanych do ministra Kuronia, które złodzieje wyrzucili wśród torów. Wydawało się, że nic nie jest w stanie opanować tego żywiołu. Wreszcie nad ranem musieli się zmęczyć, osłabła ich czujność. Zatrzymani okazali się uczniami pobliskiej zawodówki.

Na węźle PKP Opole najdłużej zwodzili funkcjonariuszy pracownicy kolei. Manewrowi i ustawiacze w ciągu kilku miesięcy otworzyli trzydzieści sześć wagonów. Towar brali tylko na własne potrzeby. Czasem na miejscu włamania zdarzyło się znaleźć kolejarski gwizdek, ale taki dowód nie jest żadnym dowodem. Złodziei należało złapać na gorącym uczynku, a złodzieje byli bardzo przebiegli. Włamywali się w ostatniej chwili, przed wyjazdem składu ze stacji. Wpadli którejś nocy, kiedy funkcjonariusze odkryli w studziankach butelki z piwem. Niedaleko w baraku kolejarze popijali tego samego „Pilsnera", nie spodziewając się obławy.

Inna kolejarska ekipa gustowała w bardziej subtelnych trunkach. Po rozładowaniu w niedzielę wagonu, wspólnie z pracownikami spedycji, raczyła się koniakiem „Zarea". Zanosiło się na dłuższą biesiadę, bo funkcjonariusze znaleźli na miejscu imprezy pięćdziesiąt pełnych butelek.

— Teraz takie wyczyny już się nie zdarzają — komisarz Słupianek przegląda rejestr ostatnich spraw. — Czasem tylko ktoś zainteresuje się samochodami, które jadą z Bielska do opolskiego Polmozbytu. Skład stoi nieraz w lesie kilkanaście godzin, a kluczyki do aut wiszą przy reflektorach. Trzy lata temu na stacji Lewin Brzeski okazało się, że w „maluchu" ktoś po drodze wymienił nowe koła na stare, jednego nawet nie zdążył przykręcić. Ostatnio, w grudniu, samochody przyjechały bez akumulatorów. Jeśli wcześniej otrzymamy informację, że w drodze jest skład z autami, wyjeżdżamy naprzeciw i konwojujemy go do Opola, ale takich sygnałów czę[illegible] nie ma. Nawet Polmozbyt nie w[illegible] że powinien spodziewać się transportu. Straty i tak pokryje PZU.

Policjanci z węzła Opole od kilku miesięcy systematycznie podróżują pociągami pasażerskimi. Wchodząc do przedziału, starają się wyglądać jak zwykli pasażerowie. Tylko w odróżnieniu od pasażerów nie zasypiają w czasie podróży.

— To jest teraz jedyny sposób: złapać złodzieja za rękę — mówią policjanci. — W pociągach grasują uczniowie dwóch szkół, lwowskiej i radomskiej. Pierwsi są subtelni, drudzy bezczelni, ale technikę mają podobną. W sztucznym tłoku, przy wsiadaniu do pociągu albo już później na korytarzu, portfele w mgnieniu oka zmieniają właściciela. Specjaliści potrafią w kilka sekund wyjąć zawartość portmonetki i włożyć ją z powrotem do kieszeni pasażera.

Na specjalistów nie ma mocnych. Rozpoznają policjantów najlepiej przebranych. Niedawno dwóch takich w Kędzierzynie szepnęło tajniakowi do ucha: — Cześć buźka, dzisiaj nie pracujemy, możesz iść do domu. Funkcjonariusz wysiadł w Opolu, a tamci na trasie do Wrocławia obrobili sześć przedziałów. Specjaliści działają w zorganizowanych grupach. Wystarczy że jeden obserwuje komisariat, a rozpozna każdego policjanta.

Człowiek w podróży przestaje być czujny, staje się naiwny i łatwowierny. Dla zabicia czasu szuka towarzystwa.

Polaków jadących z kontraktu w ZSRR specjaliści najpierw częstowali wódką. Później dolali do niej wody

utlenionej. Po takiej mieszance zapada się w nieprzytomny sen, a po przebudzeniu stwierdza brak walizek.

Obywatela tureckiego radomiacy namierzyli już na Okęciu. Wsiedli z nim do opolskiego pociągu na Centralnym i pilotowali aż do Częstochowy. W Opolu Turek zorientował się, że został bez pieniędzy i paszportu. Musieli mu wyjąć w czasie wysiadania w Częstochowie, kiedy wychylił się przez okno na korytarzu.

Od Rosjanki jadącej z Przemyśla Lesio kupił butelkę „stolicznej", później drugą. Pili razem. Na koniec próbował wysiąść z jej bagażem. — Po cholerę jej ta torba — powiedział policjantowi — i tak na mnie zarobiła.

W pociągu krakowskim młodzieniec wpadł, ponieważ zachowywał się zbyt butnie. Wchodził często do toalety, a wychodził za każdym razem w innej kurtce. Zwrócił na siebie uwagę dwóch żołnierzy.

Jego kolega, Jędrek, był dwukrotnie wypuszczany z aresztu, bo Policja sprawdzała alibi pewnego inżyniera, którego dokumentami się posługiwał. Kiedyś Jędruś zdjął z nóg śpiącego pasażera adidasy, a że były za małe, wyrzucił je przez okno. — Co się miał chłop męczyć — wyjaśnił w czasie przesłuchania.

Najtrudniejszy do złapania był „Kaskader". W sytuacjach zagrożenia wyskakiwał z pociągu, nie zważając na jego prędkość. Podczas kolejnej akcji nie zdążył jednak. Odsiedział pół roku i znów jeździ między Wrocławiem i Przemyślem.

— Raz zdarzył nam się tak krewki staruszek — wspomina Śliwiak — że sami niewiele już mieliśmy do roboty. Wracał z RFN, dwa tysiące marek wyjęli mu tuż przed wyjściem z pociągu na peron w Opolu. Następnego dnia zaczaił się z synem na ten sam pociąg. Mieli szczęście. Dziadek bezbłędnie rozpoznał dwóch złodziei. Wymachiwał laską, wykrzykując, że jak prokurator ich nie wsadzi, to on im sam wymierzy sprawiedliwość.

Dworce są jak magnes. Przyciągają ludzi, a w dworcowych poczekalniach w ludzkich głowach kiełkują różne pomysły.

Jureczek sprzedawał przypadkowym klientom wódkę i koniak. Były nalane do oryginalnych zaplombowanych butelek. Tyle że po otwarciu okazywało się, iż klient kupił wodę, a w najlepszym razie herbatę. Raz Jureczek przedstawiał się jako marynarz, innym razem jako przedstawiciel Baltony. Przyznał się do stu pięciu oszustw. Kiedy policjanci odbywali z nim ogólnopolskie tournée w celu identyfikacji przez poszkodowanych, niektórzy klienci absolutnie zaprzeczali faktowi jakiejkolwiek transakcji, chociaż Jureczek przypominał im szczegóły. — Dajcie panowie spokój — mówili do policjantów — już się raz wstydu najedliśmy, podając na imieninach tę jego cholerną wódkę.

W sądzie Jureczek odwołał wszystkie wyjaśnienia. Policja znów widuje go na trasie.

Irenki szukało w Polsce piętnaście jednostek. Wyszła na przepustkę z zakładu karnego i zapomniała wrócić, pracując solidnie na wolności w ulubionej profesji. W Opolu przysiadła się na dworcu do kobiety, na której palcu zobaczyła złoty pierścionek. Po kwadransie rozmowy bardzo zapragnęła mieć taki sam. — Tu niedaleko jest jubiler, zostawię pani moje bagaże, wezmę pierścionek, żeby on odrysował wzór i za pół godziny będę z powrotem — przekonała Irenka podróżną. Kobieta czekała godzinę, następną i jeszcze jedną, a później poszła z bagażami Irenki do komisariatu i rozbeczała się z powodu przypuszczenia, że mąż się wścieknie, bo pierścionek był zaręczynowy.

Szybko okazało się, że ciuchy w torbach pochodzą z innych kradzieży w wykonaniu Irenki, a po kilku dniach ją samą okazano poszkodowanym.

Irenka na początku straciła nie tylko pamięć, ale i głos. Dopiero kiedy aspirant Śliwiak poczęstował ją herbatą i przemówił, jak do kobiety, stała się rozmowna. Policjant tak bardzo przypadł jej do serca, że w prokuraturze zgodziła się zeznawać pod warunkiem, że będzie ją przesłuchiwał „ten sam pan policjant". A na pożegnanie powiedziała, że jak kiedyś wyjdzie z więzienia, stawi się w komisariacie z koniakiem. — Żebyś go tylko nie ukradła — zażartował Śliwiak.

Każdy dworzec, jak latarnia, przyciąga ludzi nocą. Kiedy zamkną bary i knajpy, bezdomni albo tacy, którzy nie chcą mieć domu, przypływają do dworcowych poczekalni. Gdzieś w kącie wypijają denaturat, fikołka, niekiedy zorganizują pół litra. Podróżni mają pretensje, że Policja nie zajmuje się degeneratami, ale izby wytrzeźwień nie chcą udzielać noclegu bezdomnym. Czasem próbuje się wydobyć z nich adres rodziny i wsadzić do pociągu. Wracają następnym. Interweniować trzeba wtedy, gdy naruszą porządek. Jak w grudniu, kiedy okradli ze spirytusu i orzechów Rumunów. Ale Rumuni też są w Polsce bezdomni i dworzec służy im za noclegownię. Należałoby ich także usuwać. Tylko dokąd?

Podinspektor Tadeusz Kamiński, zanim został szefem Policji w Opolu, kierował komisariatem kolejowym przez trzy lata. Z tamtego czasu najbardziej zapamiętał przypadki śmierci na torach:

— Tam śmierć jest inna, straszniejsza. Nawet odporni funkcjonariusze doznają wstrząsu, kiedy zobaczą strzępy ciała rozrzucone wśród szyn. Kiedyś na peronie między torami stał żołnierz. W jedną stronę jechał osobowy, w przeciwną towarowy. Gdy się już minęły, żołnierz zniknął. Ludzie zaczęli krzyczeć. Pociąg ciągnął ciało kilkadziesiąt metrów, prawie odciął głowę. Żołnierz nie nadużywał alkoholu, ale wtedy wracał z wesela, był pijany. Takich sytuacji nie zapomina się nigdy.

Nie z tego jednak powodu komendant Kamiński uważa, że policja na kolei jest jednostką specjalną: — Przez wiele lat praca w komisariacie dworcowym była traktowana jak zesłanie, za karę. Na szczęście to nastawienie przełożonych już się zmieniło. Funkcjonariusz na węźle musi być w połowie policjantem, a w połowie kolejarzem, mieć wiedzę i doświadczenie obydwu. Powiem panu na przykład, że za chwilę przejedzie pociąg numer 8425 i co pan wie o takim składzie? Nic. Ja po kilku latach też już wiele nie pamiętam, a policjant kolejowy od razu określi, jaki to skład, skąd i dokąd jedzie, jakie wagony prowadzi. Dla policjanta na węźle to jest elementarz, ale bez tego elementarza postronnemu człowiekowi węzeł jawi się labiryntem.

„KREN"
Jan Płaskoń
praca wyróżniona

SAMO ŻYCIE

OSZUŚCI

Zachód wciąż dla Polaków pozostaje baśniowym Sezamem. Daje gwarancje solidnego zarobku, a po powrocie wygodnego życia w kraju, w którym warunki bytowe pogorszyły się o 30 proc., a liczba bezrobotnych sięga ok. 1,3 mln osób.

W tym, że ludzie chcą lepiej żyć, nie ma zatem nic dziwnego ani gorszącego. Gorzej, że uaktywniają się również oszuści.

W jednej z łódzkich gazet spółka z o.o. prowadząca działalność eksportowo-importową, jak wiele innych o podobnym profilu, zaoferowała załatwianie wyjazdów do pracy na Zachodzie. Zainteresowani w zamian za wpłacenie 40 tys. zł mieli otrzymać informator z miejscami pracy (zwykle opracowanie takiego informatora polega na przepisaniu adresów zakładów pracy z książki telefonicznej) wraz z wizą do paszportu.

Kiedy chętni po kilku miesiącach oczekiwania nie otrzymali żadnej odpowiedzi od spółki, domyślili się, że ich oszukano. Po numerze konta podanego w anonsie prasowym funkcjonariuszom udało się dotrzeć do trzydziestokilkuletniego mężczyzny.

Działał solo podając się za właściciela założonej przez siebie i zarejestrowanej spółki. Nabrał 3400 osób na 136 mln zł. W chwili obecnej ponad 80 proc. nabitych w butelkę odzyskało już wniesiony wkład pieniężny.

*

Pewnego dnia mieszkańcowi woj. konińskiego znudziła się rola współwłaściciela spółki budowlanej. Wyczuł, że nadszedł moment, aby rozwinąć skrywane do tej pory zdolności. Razem z kolegą rozpowiadał znajomym, że spółka, w której pracuje, załatwia wyjazdy na zagraniczne budowy dla murarzy i ślusarzy. Wiadomość o możliwości zarobkowania za granicą szybko rozeszła się poza woj. konińskie.

Od zgłaszających się K. osobiście pobierał ok. 1,4 mln zł i paszporty do wizowania, następnie wyznaczał konkretny termin wyjazdu. Gdy czas minął i nic się nie wydarzyło, tłumaczył rozgniewanym klientom, że przyczyną zwłoki są chwilowe trudności. Wyznaczając kolejną datę wyjazdu obiecywał, że tym razem już na pewno się uda.

Pewnego ranka w spółce budowlanej o pana K. zaczęli rozpytywać funkcjonariusze. Okazało się, że ten przedsiębiorczy 50-latek oszukał 100 osób na 140 mln zł.

*

Marek i Krzysztof z Gliwic również chcieli się szybko dorobić. W tym celu założyli fikcyjną firmę importowo-eksportową, która miała zajmować się pośrednictwem przy zatrudnianiu za granicą. Odpowiedni anons zamieścili w prasie. Udając biznesmenów spotykali się osobiście z klientami w restauracjach i kawiarniach, pobierając od nich za „usługę" (miejsce pracy u pracodawcy zagranicznego) 2 mln zł lub 200 dolarów USA. Działali przez kilka miesięcy. W tym czasie oszukali 100 osób na 200 mln zł.

*

W Elblągu, żeby zatrudnić się przy wyrębie lasu w Niemczech, należało najpierw za pośrednictwem biura matrymonialnego skontaktować się z obywatelem RFN pochodzenia jugosłowiańskiego Stefanem Tischlerem. Tischler osobiście pobierał od każdego zainteresowanego 600 marek, albo 380 dol. USA, lub 3,5 mln zł. Aby jeszcze bardziej uwiarygodnić swoją działalność rozdawał oryginalne niemieckie kwestionariusze wizowe do wypełnienia.

W chwili obecnej elbląska Policja ustaliła, że Tischlerowi udało się nabrać 86 osób na 259 mln zł. W związku z tym KWP w Elblągu prosi poszkodowanych przez Stefana Tischlera o kontakt pod tel. miejs. 412-12 w. 300.

*

Oszustwa przy zatrudnianiu za granicą stały się problemem krajowym. Postępowania przygotowawcze w tych sprawach prowadzone są w co najmniej 14 województwach, poszkodowani pochodzą z całej Polski, nierzadko legitymują się wykształceniem wyższym. Do tej pory największa afera miała miejsce w Bydgoszczy — 600 oszukanych, straty 300 mln zł. Najtrudniej funkcjonariuszom dotrzeć do pokrzywdzonych.

Metody działania oszustów są proste. Ogłaszają się w prasie najczęściej pod „parawanem" spółki eksportowo-importowej oferującej usługi polegające na pośrednictwie i załatwianiu pracy za granicą. Aby wzbudzić zaufanie i uwiarygodnić swoją działalność, pobierają z ambasad kwestionariusze wizowe, zabierają od interesantów paszporty do wizowania. A potem...

Jak tego uniknąć?

Zdaniem funkcjonariuszy z Biura Dochodzeniowo-Śledczego KGP już z anonsu prasowego można wywnioskować, że coś nie gra. Przykład — firma „World" oferuje młodym Polkom pracę na Zachodzie. Spotkanie odbędzie się w dniu 7.03. godz. 12.00 w hotelu Marriott. W recepcji proszę prosić Mr Smitha. O tym jednak, że miejscem zatrudnienia będą prawdopodobnie domy publiczne Mr Smith oczywiście nie uprzedza.

Wątpliwości pojawiają się więc wtedy, gdy ogłoszenie prasowe powiadamia o świadczonej usłudze bez podania nazwy firmy, jej adresu, a oferty zgłaszających przesyłane są do biura ogłoszeń. Czasem anons zawiera jedynie skrytkę pocztową bez nazwy firmy. Jeżeli ogłaszają się osoby fizyczne (pragnące zrobić nieuczciwy interes) dość często powołują się na znajomości z osobistościami życia politycznego.

Po nawiązaniu wstępnego kontaktu z firmą zanim interesant zainwestuje złotówki czy dolary powinien zadać sobie trud i sprawdzić, czy dana spółka posiada zezwolenie wydane przez Ministerstwo Pracy i Polityki Socjalnej (ustawa o zatrudnieniu z dn. 29.12.89 r., art. 27 ust. 1). Jest ono niezbędne przy kierowaniu obywateli polskich do pracy u pracodawcy zagranicznego.

Tylko ostrożność i rozwaga zainteresowanych zagranicznymi saksami uchroni ich od niemiłych rozczarowań.

JOLANTA SZUTKOWSKA

POD OPIEKĄ MERKUREGO I POLICJI

Na tegorocznych targach krajowych w Poznaniu swoje wyroby zaprezentowali niemal wszyscy liczący się w kraju producenci, było też sporo firm debiutujących w imprezie, a kontrakty zawierano w zupełnie nowych dla wytwórców i handlowców warunkach gospodarczych.

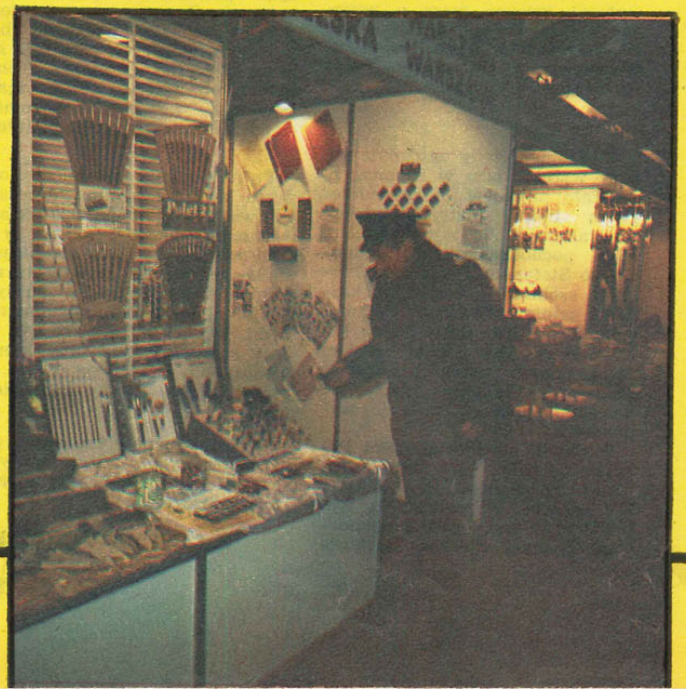

Zdarzało się, niestety, że detaliści nie bardzo zdawali sobie sprawę z tego, po co przyjechali do Poznania. Nie mając rozeznania rynku, nie znali potrzeb klientów. Wielu spośród nowych zaopatrzeniowców przyjechało do grodu nad Wartą rozerwać się na koszt firmy, zobaczyć kawałek wielkiego świata.

— Nowi ludzie, stare problemy. Czy tak można podsumować ich pobyt w waszym mieście?

— Skądże znowu — oponuje komendant Komisariatu Targowego Policji nadkom. Jan Trybus. — Muszę zastrzec, że nas policjantów nie interesowało co uczestnicy targów robili w czasie wolnym, choć zdarzało się, że brakowało reprezentanta jakiejś firmy podczas komisyjnego otwierania pawilonu wystawowego. Na szczęście były to pojedyncze sytuacje. Naszym zadaniem było więc czuwanie, by nie wydarzyło się nic nieprzewidzianego. I tak było. Hale, pawilony, stragany musiały funkcjonować zgodnie z planem, tok ich pracy nie mógł ulec zakłóceniom. Stąd też policjanci taktownie, z elegancją, ale i zdecydowanie pełnili swoje codzienne obowiązki.

Czasami trzeba było delikatnie przypomnieć wystawcom żywo dyskutującym przy czymś mocniejszym na zapleczu, że stoisko pozostało bez opieki czy też dojrzeć, że ktoś akurat pakuje do torby część ekspozycji. Zdarzało się, że wystawcy znikali z hali w kilka minut po wyjściu swego ostatniego klienta, podczas gdy po sąsiedzku dobijano interesu. Przyjęto więc, że halę otwierała komisja w tym samym składzie, w którym ją zamykano. Od tego momentu nikt nie miał prawa do niej wejść. Odcinano także dopływ prądu.

Nocą, kiedy opustoszał plac, zaciemnione uliczki, zakamarki penetrowali policjanci, wartownicy. Dyżurny komisaratu na każdym z 6 monitorów miał podgląd na to, co się dzieje w różnych częściach podległego terenu. Gdzie nie mogły wejrzeć kamery wyposażone w noktowizory, co jakiś czas pojawiał się policjant.

Już na samym początku, kiedy, co nieuniknione, panował rozgardiasz, w jednej z hal pozostał na noc złodziej. Rano wyszedł modnie ubrany, z gitarą pod pachą itp. Gdzie indziej zginęły dwa rowery, dochodzenie zakończyło się ustaleniem, że inny pracownik umożliwił przejażdżkę nimi przystojnym Anglikom, a ci, niewdzięcznicy, potraktowali lśniące jednoślady jako suweniry.

Pracy nie brakuje służbom patrolowym, dochodzeniowym, drogówce. Od kiedy np. zaczęto skrupulatnie rozliczać parkingowych z toku pełnienia dyżuru, wyraźnie zmniejszyła się liczba włamań i kradzieży z samochodów. Z chwilą zamknięcia pawilonów, zakończenia zwiedzania ruszyły przed siebie nyski, mazdy, stary, mercedesy i wtedy cały ciężar rozładowania gigantycznego korka przejmowali na siebie policjanci z drogówki. I tak dzień w dzień aż do wyjazdu gości krajowych i zagranicznych. Coraz krótsze są przerwy w zmianach ekspozycji, wielkie targowanie w Poznaniu trwa. Policjanci z miejscowego komisariatu niewiele mają czasu na odpoczynek, tym samym nie mogą wyjść z nabytej wprawy.

Nie darmo organizatorzy, jak i wystawcy podkreślają, że handlowanie jeśli nie na światowym, to europejskim poziomie byłoby utrudnione bez sprawnie działających służb porządkowych, wśród których znaczącą rolę odgrywają policjanci.

JERZY KIRZYŃSKI
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

Policja radzi

JAK SIĘ ZACHOWAĆ BĘDĄC ŚWIADKIEM PRZESTĘPSTWA?

„Na oczach pewnego przechodnia dokonano napadu rabunkowego. Podążył on w ślad za uciekającym sprawcą. W pewnej chwili przestępca odwrócił się i wystrzelił z trzymanego w dłoni pistoletu. Śmiertelnie ranny przechodzień upadł na ziemię. Tymczasem mordercy udało się zniknąć w tłumie."

Tymi słowami Edward Zimmermann z wówczas jeszcze zachodnioniemieckiego programu ZDF pt. „Numer akt. XY... nie rozwiązany" opisuje przestępstwo, które ma nadzieję z pomocą telewidzów rozwiązać. Jak widać, w swoich założeniach program ów nie odbiega od polskiego „997".

Wcale nie tak rzadko zdarza się, że świadek płaci za swą odwagę zdrowiem, a nawet życiem. I tak powstał związek wspierania ofiar przestępstw. Pomaga on m.in. 48-letniemu malarzowi Franzowi H., który w czasie pościgu za sprawcą napadu na bank został przez niego dwukrotnie groźnie postrzelony. Inna ofiara — 21-letni sprzedawca z Monachium Armin G. — śledził złodzieja sklepowego aż do podziemnych garaży, gdy ten wyjął nagle dziewięciomilimetrowy pistolet i strzelił. Odtąd G. jest połowicznie sparaliżowany.

Oprócz tych zanadto odważnych świadków istnieje też cała rzesza obywateli, którzy w krytycznej chwili zostawiają innych na tzw. lodzie. Dające dużo do myślenia są wyniki ankiety przeprowadzonej przez Instytut Badania Opinii Publicznej w Allensbach. Otóż tylko 36 proc. zapytanych obywateli stwierdziło, że bez dłuższego wahania zainteresowałoby się, gdyby w nocy usłyszeli wołania o pomoc dochodzące z mieszkania. Około 23 proc. przeszkodziłoby w kradzieży dokonywanej w domu towarowym. Biada zaś policjantowi, gdyby znalazł się w opałach. Jemu pomogłoby tylko 16 proc., respondentów.

Skandaliczne wypadki potwierdzają wyniki ankiety. Na prestiżowej ulicy Berlina — Kurfürstendamm — na oczach grupy gapiów został brutalnie pobity policjant. Nikt mu nie pomógł. W hali dworca w Essen około 50 ludzi przyglądało się, jak jeden włóczęga zasztyletował drugiego. Dopiero gdy morderca uciekł, ktoś powiadomił policję.

Pomoc w takiej sytuacji to nie tylko odruch serca, lecz również wymóg prawa. Niemieckie prawo stanowi, że kto w chwili wspólnego zagrożenia nie udzieli pomocy, chociaż wymagają tego okoliczności, a nie występuje znaczne zagrożenie ratującego, podlega karze ograniczenia wolności do jednego roku lub grzywnie. Dotyczy to również osób, które dowiedzą się o szczególnie niebezpiecznych przestępstwach, jak zabójstwo, porwanie czy podpalenie i nie powiadomią organów ścigania.

Monachijski nadkomisarz kryminalny Karlheinz Huber radzi nam, by w sytuacji, gdy jesteśmy świadkami przestępstwa, mieć oczy szeroko otwarte i obserwować sprawców, ich przybliżony wzrost, wiek, ciężar ciała. „Ważne jest, czy przestępca był wytatuowany, czy może kulał? Jaka była jego mimika, czy mówił cicho, czy głośno i jak?" — mówi Huber. „Należałoby również przyglądać się przebiegowi czynu — dodaje komisarz kryminalny pani Petra Sandles. — W której ręce trzymał on broń, czy miał przy sobie plastykowy woreczek?".

Sprawcę można śledzić, lecz tylko z bezpiecznej odległości. Ważne jest obserwowanie drogi jego odwrotu. Widząc samochód służący do ucieczki, dobrze by było zapamiętać kolor, numer rejestracyjny, typ, spoiler, naklejki".

Co uczynić będąc świadkiem napadu na ulicy? To, czy sami włączymy się do akcji, zależy od tego, czy jesteśmy sprawni fizycznie. Bardzo ważny jest również fakt posiadania przez przestępcę broni. Najlepszym wyjściem jest jak najszybsze powiadomienie policji. Gdy w pobliżu nie ma budki telefonicznej, prosimy o pomoc mieszkańców z sąsiedniego bloku lub najbliższego przechodnia.

Gdy widzimy z okna coś podejrzanego lub słyszymy nienaturalne szmery u sąsiada, wykręcamy numer 997 i podajemy nasze nazwisko, adres, czas. Później można śledzić dalszy rozwój czynu ze słuchawką w dłoni. Bądźmy również gotowi na pytania ekipy dochodzeniowo-śledczej.

Przy kłótniach w lokalu gastronomicznym ryzykownym byłoby granie rozjemcy. Mądrzej jest niepostrzeżenie wymknąć się z sali i zaalarmować policję. Gdy chodzi o poważną masową bójkę, należy to również powiedzieć. Inaczej przyjdzie jednoosobowy patrol... i niczemu nie zaradzi.

Kto nadal sądzi, że lepiej „glinom" nie pomagać, powinien się zastanowić, że następnym razem to **ON** może potrzebować wsparcia. Taki los spotkał pewną panią z Essen, która z okna sypialni spokojnie przyglądała się, jak jakiś mężczyzna włamał się do czterech samochodów. Zadzwoniła po policję dopiero wtedy, gdy ten zabrał się za jej własne auto. Gdy przybyła policja, włamywacz był już daleko.

z niemieckiego czasopisma „Fernsehwoche" nr 39/89 przełożył Rafał Mazur

PODZIEMNE PRZYSPIESZENIE

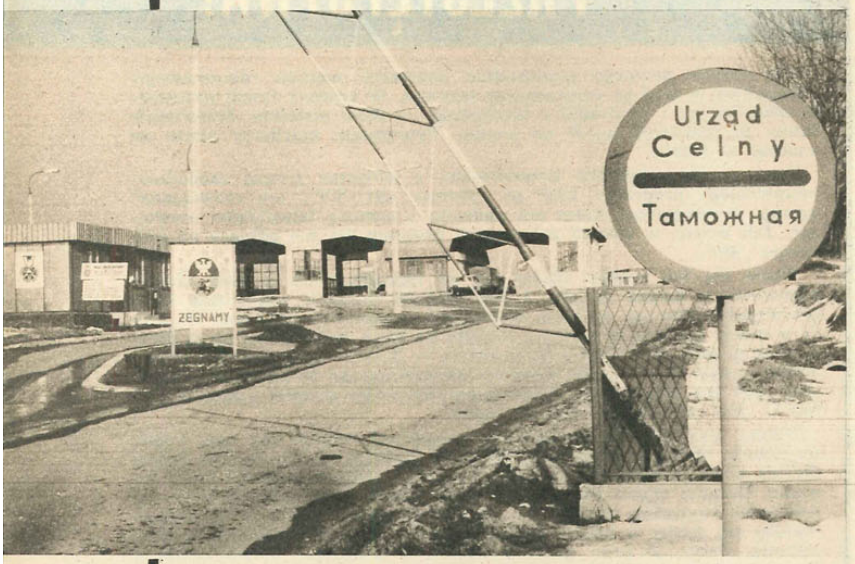

Od pewnego czasu w prasie polskiej coraz to pojawia się słowo „przyspieszenie", które w świadomości niektórych zaczyna nabierać magicznego znaczenia. Jak dotąd nie udało mi się zidentyfikować mechanizmów gospodarczych, które owo „przyspieszenie" mają spowodować. Z tego też powodu chcę odsłonić sposób na „przyspieszenie", który od kilku lat dość dobrze funkcjonuje w przestępczym podziemiu kraju. Oficjalna gospodarka posuwa się ku Europie w tempie, które nawet dla żółwia byłoby zbyt wolne. Natomiast podziemie, jeśli chodzi o pomnażanie swoich zysków, osiągnęło już drugą prędkość kosmiczną. W każdym kapitalistycznym państwie (a do takich podobno chcemy się zaliczać) nielegalny biznes jest sposobem na dorobienie się dużej fortuny. Jej właściciel po pewnym czasie staje się uczciwym przedsiębiorcą legalnie pomnażającym poprzednio nielegalnie zdobyty majątek. Jak już wspomniałem, jest to znany Zachodowi mechanizm. W naszym jednak przypadku podziemny kapitał dosłownie kroczy ku Europie. Oto najwięksi macherzy podziemia wykupują na Zachodzie akcje przedsiębiorstw bądź restauracje, bynajmniej nie zamierzając lokować pieniędzy w gospodarce od miesięcy reanimowanej przez głównego kardiologa Polski Balcerowicza. Ale ad rem...

Otóż w Warszawie istniała firma „Navrot", która swego czasu dość duży zysk osiągnęła z nielegalnego obrotu setkami hektolitrów alkoholu sprowadzanego do Polski. W październiku ub. roku firma uległa likwidacji. Tak przynajmniej wyglądało ze strony prawnej. W rzeczywistości byli właściciele utworzyli na jej bazie spółki z o.o.: „Polkam", „Misztura", „Watford & Watford" oraz skład celny „Polkam". Właściciele powyższych spółek dodatkowo są udziałowcami prywatnego sklepu spożywczego, który miał być pierwszym w planowanej sieci sklepów spożywczych. Na razie w sklepie handlowano wszystkim, co było chodliwe na rynku: papierosami, magnetowidami, telewizorami itp. Jak wynika z policyjnych kartotek, szefowie przedstawionych spółek wywodzą się ze świata cinkciarskiego. Ba, jeden z nich parał się swego czasu fałszowaniem dolarów USA, za co w 1985 roku został skazany prawomocnym wyrokiem sądu w Gdańsku.

Wszyscy owi panowie, wykorzystując założone spółki jako przykrywkę do prowadzenia nielegalnych interesów, pewnego dnia wpadli na pomysł sprowadzenia do Polski papierosów „Marlboro". Każdy zainteresowany biznesem uzyskał w Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą odpowiedni dokument zezwalający na tranzyt przez Polskę papierosów, których krajem docelowym miał być ZSRR. Dzięki takiemu papierkowi każdy transport papierosów, który przekraczał naszą granicę, zwalniany był od płacenia kaucji, która np. w przypadku sześciu tirów wynosi 700 mln zł. W intencji wydającego przepis ma ona być zabezpieczeniem na wypadek, gdyby właściciel transportu zmienił zdanie i towar zamierzał wprowadzić na krajowy rynek. W tym wypadku, dodajmy, taki delikwent musiałby jeszcze zapłacić cło i podatek obrotowy. Ale o tym później.

Jak już pisałem, panowie zaczęli sprowadzać do kraju transporty papierosów. Każda ciężarówka zabierała ładunek 480 tys. paczek papierosów, a jej wartość miała rzekomo wynosić 192 tys. DM.

Oczywiście żaden z właścicieli wymienionych przeze mnie firm nie zamierzał wysyłać papierosów na Wschód i poprawiać smaku obywatelom ZSRR. Chociaż z tym smakiem to też jest rzecz wątpliwa. Otóż papierosy „Marlboro" z firmą „Philip Morris" mają tyle wspólnego, co autor tego artykułu z baletem. W rzeczywistości są one produkowane w Brazylii bądź Meksyku i przez Hiszpanię eksportowane do krajów dawnego obozu socjalistycznego. Dlaczego tu? Ot, niejednokrotnie wschodni ludzie często bardziej zafascynowani są opakowaniami niż znajdującym się wewnątrz towarem. Poza tym agenci „Philip Morrisa", dbający o jakość firmowego towaru, jeszcze nie przekroczyli naszej zachodniej granicy.

Żeby interes szedł dobrze, w Białymstoku znaleziono odpowiedniego pośrednika. Osoba ta załatwiała fikcyjne dokumenty potwierdzające przekroczenie wschodniej granicy przez tiry, które z papierosami przyjechały z Zachodu.

Do dnia dzisiejszego funkcjonariusze Wydziału Operacyjno-Rozpoznawczego Komendy Wojewódzkiej Policji w Białymstoku doliczyli się siedmiu transportów papierosów, które przekroczyły przejścia graniczne w Ogrodnikach i Kuźnicy Białostockiej. Tamtejszy pośrednik za załatwienie fikcyjnych dokumentów odprawy celnej otrzymał 21 tys. dolarów, które częściowo przeznaczył na opłacenie nieuczciwych celników. Jak dotąd Policja aresztowała pięciu z nich. Najbardziej gadatliwy wyznał, że za jeden fikcyjny transport brał od 300 do 500 dolarów. Czy odprawiono tylko siedem transportów (każdy po kilka ciężarówek)? Nie wiadomo. O tym, że mogło być ich więcej, świadczy mienie zabezpieczone u owych pięciu delikwentów, wynoszące 126 mln zł.

Kiedy piszę te słowa (połowa marca), w Terespolu, w tamtejszym urzędzie celnym trwają czynności śledcze wobec kolejnych dwóch nieuczciwych celników. U jednego z nich Policja znalazła fikcyjne dokumenty potwierdzające fakt przekroczenia granicy polsko-radzieckiej przez sześć transportów. Za każdy celnik otrzymywał po 300 dolarów USA. W czterech z nich znajdowały się papierosy „Marlboro", w dwóch „przewieziono" przez granicę tysiąc telewizorów marki Sony. Na tej transakcji skarb państwa stracił 16,5 mld złotych (50-procentowe cło plus sto procent podatku od wartości ogólnej towaru). Sumując to z transportami, które „przeszły" przez Ogrodniki i Kuźnicę Białostocką państwo dostało w kość na 40 mld złotych — pieniędzy, które w

POSZUKIWANI

1. Gajda Janusz Longin
s. Zygmunta i Teresy z d. Sulkowska
ur. 15.03.1952 r., Sokolniki Stare
zam. Legionowo, ul. Pałacowa 8/35
poszukiwany listem gończym przez Prokuraturę Wojewódzką w Białymstoku

2. Szkopiński Marek Adam
s. Władysława i Teresy z d. Nowak
ur. 16.10.1957 w Warszawie
zam. Warszawa-Wola, ul. Pereca J „L" 2 m. 1518
poszukiwany listem gończym przez Prokuraturę Wojewódzką w Białymstoku

3. Johannsen Czesław Franciszek
s. Józefa i Stanisławy z d. Drużna
ur. 20.05.1952, Poznań
zam. Warszawa-Praga Południe, ul. Mińska 9/9
poszukiwany listem gończym przez Prokuraturę Wojewódzką w Białymstoku

4. Watford Aleksy Jerzy
s. Hermana i Janiny z d. Fiuczek
ur. 14.06.1953 r. w Warszawie
zam. Warszawa Praga-Południe, ul. Podskarbińska 10A m. 15
poszukiwany listem gończym przez Prokuraturę Wojewódzką w Białymstoku

5. Misztura Zygmunt
s. Franciszka i Feliksy z d. Bajwół
ur. 25.09.1942. Rachanie Zamojskie
zam. Rachanie Zamojskie, ul. Ogrodowa 210
poszukiwany listem gończym przez Prokuraturę Wojewódzką w Białymstoku.

formie podatku miały trafić do skarbu państwa.

— Obserwując nasz białostocki światek handlowy — mówi komisarz Andrzej Bruzdo, zastępca naczelnika wydziału operacyjno-rozpoznawczego — można powiedzieć z przekonaniem, że w dużej części kapitał początkowy pochodził z dawnych cinkciarskich interesów. Niedawno pieniądze angażowano w nielegalnie sprowadzany z Zachodu alkohol i samochody. Potem przyszła moda na papierosy „Marlboro". Dziś większość z rodzimych handlarzy inwestuje w sprowadzanie kradzionego na Zachodzie sprzętu elektronicznego (komputery, magnetowidy, telewizory) itp.

— Jak duże fortuny wyrosły na tak prowadzonych interesach?

— Trudno to ocenić w konkretnych liczbach. Ale że ludzie wzbogacili się niepomiernie, świadczy fakt, że od czasu do czasu nasi rodzimi „biznesmeni" organizują sobie wyścigi szybkimi autami zachodnimi. Nagroda wynosi dziesięć tysięcy dolarów.

— Warto dodać — włącza się podinsp. Jan Prokopiuk, naczelnik wydziału — że ludzie ci dysponują naprawdę dużymi pieniędzmi. Dla nich pożyczka rzędu 50 czy 100 tys. dolarów to nic wielkiego. Mamy informacje, że na życzenie jednej z osób w ciągu 24 godzin dostarczono gotówkę w wysokości dwóch miliardów złotych.

— Czy w Białymstoku macie jakiegoś człowieka, który trzyma cały interes w jednym ręku?

— Nie, nikogo takiego nie ma — kontynuuje Jan Prokopiuk. — U nas istnieje wiele kilkuosobowych grup, które ostro ze sobą konkurują. Jak wynika z informacji operacyjnych takie grupy, o których pan mówi, działają w Gdańsku bądź Wrocławiu. Kiedy ich boss przyjeżdża na nasz teren, to zawsze ma przy sobie obstawę, która być może posługuje się bronią ostrą. Naszym goryle nie są potrzebni. Jedna z takich osób oświadczyła wręcz: „Po co mi obstawa? Kiedy będę chciał kogoś wysłać na tamten świat, poproszę o przysługę Rosjan".

— Ile taka uprzejmość kosztuje?

— Podobno pięć tysięcy dolarów, ale na szczęście na naszym terenie nie spotkaliśmy się jeszcze z tak drastycznymi metodami perswazji...

— Jakiego typu kontakty białostocczanie utrzymują z mafią rosyjską?

— Na razie wiadomo nam, że nasi ludzie nadają tamtym robotę na terenie Białegostoku. I tak, jak wynika z naszych informacji operacyjnych, wystawili Rosjanom magazyn „Pewexu" znajdujący się przy ul. Hetmańskiej, skąd skradziono 100 magnetowidów. Suma strat wyniosła 62 tys. dolarów. Rzecz jasna włamywacze jeszcze tej samej nocy ulotnili się przez granicę.

Na ślad białostockiej afery papierowej, jak pisałem, trafiono poprzez nieuczciwych celników.

— Większość z zabezpieczonych przez nas na granicy dokumentów — wyjaśnia komisarz Andrzej Grudziński — mówiła o firmie „Polkam" i prowadzonym przez nią składzie celnym. Na ul. Chłodnej, gdzie mieści się zarząd firmy, nieoczekiwanie trafiliśmy na dokumenty mówiące, że w interesie papierosowym uczestniczyły spółki, które powstały w wyniku rozpadu spółki „Navrot". Takiego galimatiasu w dokumentach jeszcze nigdy nie widziałem. Być może próbowano czyścić dokumenty, po tym jak aresztowaliśmy na granicy celników. Być może był to element papierkowej codzienności, która w wypadku kontroli urzędu skarbowego miała utrudnić rozeznanie się w interesach.

O tym, że interesy prowadzone były (celowo) na wariackich papierach, świadczy przykład „Przedsiębiorstwa Importowo-Eksportowo-Handlowego Misztura", którego pieczątkę znaleziono w jednej z szuflad. Jak głosił wytłoczony na niej napis, owo przedsiębiorstwo było warszawską ekspozyturą, a jej przedstawicielstwo mieściło się na ul. Nicejskiej. Jak można się domyślać pod owym adresem białostoccy policjanci niczego takiego nie znaleźli.

Kiedy funkcjonariusze w Białymstoku parali się kontrolą dokumentów składu celnego „Polkam", przedstawiciele warszawskiego urzędu celnego zajęli się opieczętowaniem kontenerów, które znajdowały się na terenie składu.

W momencie, gdy urzędnicy przybyli na miejsce, okazało się, że na terenie składu stoją dwa samochody, na które załadowywane są kartony papierosów. Kierowcy nie posiadali odpowiednich zezwoleń na dokonanie załadunku. Przybyłym na miejsce policjantom wyjaśnili, że zgłosił się do nich nieznany osobnik, który zaproponował duży zarobek w zamian za wyświadczoną przysługę. Odpowiednie dokumenty, zezwalające na wywóz, jak oświadczyli kierowcy, miały być za chwilę dostarczone. Czyżby czujący pismo nosem właściciel papierosów zamierzał uratować część składowanego towaru? Najprawdopodobniej tak. Jeżeli dodamy, że takiego składu celnego pilnuje jeden dozorca i ślepy pies, to trzeba założyć, że operacja wywozu trefnych papierosów miała wszelkie szanse powodzenia.

Że towar jest naprawdę trefny, świadczy przykład transportu zatrzymanego na zachodniej granicy w Świecku. Oto w trakcie kontroli celnej kierowca jednego z tirów okazał celnikowi dokument, z którego wynikało, że wartość przewożonych papierosów wynosi 192 tys. DM. Celnik okazał się jednak człowiekiem wścibskim i zaczął przeszukiwać kabinę kierowcy. Tu trafił na inny dokument przewozowy, który zaświadczał ni mniej, ni więcej, że wartość przewożonych papierosów wynosi 316 tys. DM.

Na czym ta przewrotna sztuczka polega? Otóż przekraczając granicę niemiecką kierowca wykazuje rzeczywistą wartość towaru. Dzięki temu zyskuje dziesięcioprocentową bonifikatę na cenie wywożonego towaru. Natomiast na granicy polskiej pokazuje się faktury z ceną zaniżoną, by pomniejszyć przyszły podatek, który trzeba będzie zapłacić skarbowi państwa.

W Świecku zatrzymano osiem ciężarówek. Rzeczywista wartość przewożonych papierosów wynosiła dwa miliony 528 tys. DM. Wartość zaniżoną, którą zadeklarowano na granicy polskiej była o połowę mniejsza.

Jak należy domniemywać podobne numery robili przedstawiciele firm powstałych na bazie dawnej spółki „Navrot". Na razie za pięcioma właścicielami trefnych spółek zostały rozesłane listy gończe (zdjęcia publikujemy obok). Większość z odnalezionych przez białostockich funkcjonariuszy listów przewozowych mówiła o niemieckiej spółce „Zeidler".

— Notabene — kończy komisarz Andrzej Bruzdo — wiadomo jest nam, że „Zeidler" jest zbyt poważną firmą, która nie pozwoliłaby sobie na taki numer. Chociażby z tego powodu, że w momencie wykrycia szwindlu przez tamtejsze organa podatkowe, firma zostałaby zniszczona nałożonymi na nią karami pieniężnymi. Wynika stąd wniosek, że rodzimi szmuglerzy wystawiają fałszywe rachunki na nieświadome tego faktu firmy lub wręcz tworzą na dokumentach nazwy firm, które nigdy i nigdzie nie istniały.

Na razie śledztwo w sprawie opisanej przeze mnie afery trwa. Według oceny białostocczan jest to tylko czubek góry lodowej, której wielkości w chwili obecnej nikt nie jest w stanie określić.

Jak zatem jasno z powyższego wynika, świat przestępczy i nieuczciwi handlowcy „przyspieszyli" i to dość ostro. Warto, by nad tą sprawą pomyśleli wszyscy, którym leży na sercu dobre imię naszego kraju. W przeciwnym wypadku może się okazać, że główne drzwi do Europy zostaną przed nami zamknięte na długi czas, a przez europejskie drzwi kuchenne będą wkraczać jedynie przestępcy, którzy poza naszą zachodnią granicą wyrobią nam na długi, długi czas odpowiednią markę. Swego czasu Niemcy okrzyknęli nas „paserami Europy" — chodziło tu o nielegalnie sprowadzane do nas kradzione samochody. Tej łatki ze „znakiem jakości" długo się nie pozbędziemy. Warto zadbać o to, by nie przylepiono nam łaty następnej.

PAWEŁ SZLACHETKO
zdj. autor (2)

CIOSEM NOŻA

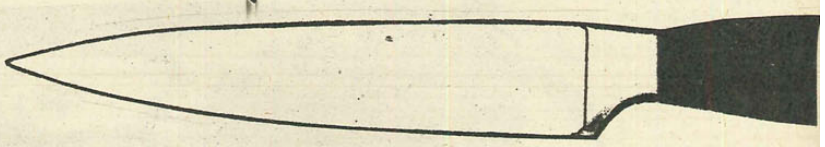

Zginął człowiek, zabity ciosem noża. Zginął, gdy wystąpił w obronie maltretowanej kobiety. Czy tragedii tej można było uniknąć?

W warszawskiej dzielnicy Praga-Południe wiele jest starych domów zamieszkanych w większości przez ludzi z marginesu społecznego. W jednym z nich mieszkał Jerzy S. z żoną i dwojgiem kilkuletnich dzieci. Byli małżeństwem od ponad dziesięciu lat. Jerzy S. nie lubił pracować, przynajmniej na stałe. Owszem, od czasu do czasu podejmował jakieś dorywcze prace. Część zarobionych pieniędzy przeznaczał na utrzymanie rodziny, resztę przepijał. Ojciec dwojga dzieci był człowiekiem despotycznym, bezwzględnym i brutalnym. Jego powroty do domu w stanie nietrzeźwym kończyły się zwykle pobiciem żony. Maltretowana kobieta często uciekała do matki, niekiedy w środku nocy, boso, z dziećmi. Szukała także schronienia u sąsiadów.

Byli nimi państwo K., porządni, przyzwoici ludzie. Ojciec rodziny, 47-letni pan Stanisław, był kierowcą. Jego żona również pracowała. Mieli dwóch dorastających, uczących się synów. Stanowili więc przykład raczej nietypowy na swojej ulicy. Stanisław K. już kilkakrotnie stawał w obronie pokrzywdzonej sąsiadki. Zabierał ją do swojego mieszkania, zamykając pijanemu mężowi drzwi przed nosem. Później, kiedy Jerzy S. pogrążony był w alkoholowym śnie, nieszczęsna kobieta wracała wraz z dziećmi do domu i przysypiali gdzieś w kącie czekając, aż „pan i władca" wytrzeźwieje. Za namową matki oraz państwa K. zgłaszała kolejne pobicia Policji. Kilkakrotnie poddawano ją obdukcji. W końcu do sądu rejonowego wpłynęła skarga o znęcanie się. Postępowanie ciągnęło się ponad rok. Jerzy S. zwalał całą winę na żonę twierdząc, że go prowokowała. Ostatnia rozprawa wyznaczona została na trzeciego stycznia br.

W przeddzień rozprawy Jerzy S. popił ostro i postanowił, że w domu „wychowa" żonę. Ledwie przekroczył próg, zaczął ją bić. Nie zwracał uwagi na obecność dzieci. Przerażona kobieta wybiegła na klatkę schodową i wczepiona w poręcz schodów rozpaczliwie wzywała pomocy. Małżonek początkowo próbował wciągnąć ją z powrotem do mieszkania, ale ponieważ nie puszczała poręczy, postanowił dokończyć dzieła na schodach.

Jak zwykle nikt nie pospieszył jej z pomocą, nikt — z wyjątkiem Stanisława K. Sąsiad wyszedł na klatkę schodową, odepchnął Jerzego S., pomógł wstać kobiecie i razem z nią zniknął za drzwiami swego mieszkania, do którego wcześniej uciekły dzieci państwa S. Pan Jerzy klął na czym świat stoi dobijając się do drzwi sąsiadów. Ale drzwi pozostawały zamknięte, wściekłość w nim wzrastała. Wrócił do mieszkania, w kuchni wyjął nóż z szuflady, ukrył go za paskiem od spodni. W przeszłości robił tak już wielokrotnie, ale zwykle rezygnował po jakimś czasie i szedł spać. Teraz jednak nie dawał za wygraną.

Bojąc się, że pijany desperat może wyłamać drzwi, Stanisław K. w towarzystwie 13-letniego syna wyszedł z mieszkania. Próbował, za pomocą perswazji, uspokoić sąsiada. Niestety, na próżno. Jerzy S. twardo żądał powrotu żony. W pewnej chwili wydobył nóż i uderzył nim na oślep. Zadany z dołu cios wymierzony był w chłopca. Pan Stanisław zasłonił syna. Ostrze ugodziło ojca w pierś, przebijając komorę serca. Upadł. Chłopiec i stojąca w drzwiach sąsiadka zaczęli przeraźliwie krzyczeć. Sprawca rzucił się do ucieczki, upuszczając nóż po drodze.

Nieustające krzyki wzbudziły wreszcie zainteresowanie innych mieszkańców domu. Przyjechało pogotowie, które zabrało ciężko rannego, nieprzytomnego mężczyznę. W tym czasie wrócił Jerzy S. I to bynajmniej nie po to, aby oddać się w ręce sprawiedliwości. Najwyraźniej nieusatysfakcjonowany tym, co zrobił, próbował kontynuować bicie żony. Tym razem mieszkańcy kamienicy obezwładnili bandytę i przytrzymali go do przyjazdu Policji. Nie było to wcale łatwe, gdyż Jerzy S. wyrywał się, kopał, gryzł. Musieli położyć go na podwórku i przycisnąć do ziemi. Reszta otoczyła leżącego zwartym kołem. Przybyli policjanci założyli kajdanki Jerzemu S. i przewieźli go do aresztu.

Następnego dnia w godzinach popołudniowych Stanisław K. zmarł nie odzyskawszy przytomności. Był to dzień, w którym Jerzy S. miał być sądzony za znęcanie się nad żoną. Teraz stanie przed sądem z zupełnie innego paragrafu. Może gdyby sąd bardziej zdecydowanie prowadził sprawę o pobicie i wymierzył sprawcy karę, nie doszłoby do zabójstwa.

PIOTR KITRASIEWICZ

PIJANA ŚMIERĆ

To była naprawdę udana zabawa. Do remizy strażackiej w Tłuchówku, gmina Tłuchowo, woj. włocławskie, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia ub. roku ściągnęła młodzież z całej okolicy. Panny jak zwykle zajęły miejsca pod sceną w pobliżu orkiestry, kawalerowie tuż przy barze. Oficjalnie była to zabawa bezalkoholowa, ale już o godz. 22.00 nie było uczestnika, któremu nie dymiłoby z głowy. Tylko barman i jego żona się oszczędzali, bo musieli pilnować interesu. Z braku szklanek i kieliszków piło prosto z „gwinta". W jednym miejscu co prawda wybuchła szarpanina, ale dziarscy strażacy szybko ją uśmierzyli. Wieś się motoryzuje, więc o orczyk i kłonicę trudno, płoty są z siatki, to i sztachety nie były w ruchu. Wyglądało na to, że będzie to zwykła zabawa, z której dochód zasili konto jednostki strażackiej. Około godziny 3.00 nad ranem wszyscy zaczęli rozchodzić się do domów, niektórych podnoszono spod stołów, inni szli przed siebie, nie wiedząc nawet, jak się nazywają. Panny, które nie miały wzięcia, wlały w siebie potężne ilości taniego wina, piwa i wódki, i ruszyły w domowe pielesze.

Następnego dnia, 27 grudnia, Dorota Ptak szła do sąsiadki do Tłuchowa, aby złożyć jej poświąteczną wizytę. W odległości około 500 metrów od remizy, już w polu, zauważyła coś czarnego. Podeszła bliżej i spostrzegła młodego mężczyznę nie dającego oznak życia. Spróbowała go podnieść, ale gdy dotknęła jego twarzy, z przerażeniem stwierdziła, że jest zimny. Z krzykiem na ustach pobiegła do najbliższego zabudowania. Powiadomiony przez nią rolnik wsiadł na rower i szybko poinformował Posterunek Policji w Tłuchowie o zwłokach leżących na polu. Wkrótce też zebrał się tam powiadomiony pocztą pantoflową spory tłumek, skutecznie przy tym zadeptując wszelkie ślady.

Przybyły na miejsce lekarz stwierdził zgon, podając za prawdopodobną przyczynę zadławienie się krwią. Denat miał na twarzy liczne obrażenia, doznane, jak później potwierdzono w trakcie sekcji zwłok, od uderzeń pięścią i butem. Mimo zimowych chłodów 20-letni Kazimierz Pytko był bez kurtki i butów.

Do wyjaśnienia tej zbrodni, komendant wojewódzki Policji we Włocławku powołał ekipę, w skład której weszli między innymi kom. Grzegorz Bojakowski z Wydziału Operacyjno-Rozpoznawczego KWP, kom. Waldemar Glapiak z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego KWP i asp. Stanisław Romankiewicz z Komendy Rejonowej Policji w Lipnie.

Jak zwykle w takich wypadkach dochodzeniowcy zaczęli ustalać przebieg ostatnich godzin życia denata. Kazimierz Pytko (jego tożsamość potwierdziło kilka osób obecnych na miejscu zdarzenia) był niczym nie wyróżniającym się chłopakiem, mieszkającym w sąsiedniej wsi. Ukończył podstawówkę i wraz z matką i bratem prowadził gospodarstwo rolne. Często chodził na zabawy wiejskie, ale głównie po to, by się spić i zapomnieć o bożym świecie. Nie był specjalnie awanturny, ale do lebiegów też nie należał. Policjantów, przy ustalaniu ostatnich godzin życia Kazimierza spotkało coś, z czym jeszcze w swojej wieloletniej praktyce nie mieli do czynienia. Nikt spośród uczestników zabawy nic widział, gdyż wszyscy byli tak kompletnie pijani, że nie potrafili nawet opowiedzieć przebiegu zabawy. Policjanci przesłuchali ponad setkę świadków, ale nikt nie kojarzył logicznie, w jakim czasie Kazimierz Pytko był na zabawie, z kim pił, kiedy wychodził. Przez 10 dni intensywnego śledztwa dochodzeniowcy praktycznie kręcili się w miejscu.

11 dnia od zabójstwa asp. Stanisław Romankiewicz uzyskał informację, że 20-letnia Bożena Kamińska na spotkaniu towarzyskim wygło-

ŚWIECZKA DLA KOLEGI

Maluchy maszerujące do przedszkola zatrzymywały się zaciekawione. Koło furtki leżały na chodniku kwiaty i płonęły znicze. Gromadka dzieci powiększyła się, wszystkie naraz zadawały pytania rodzicom, którzy ze zdumieniem czytali wypisane żółtą farbą, wielkimi na pół chodnika literami, słowa: „TU POLICJANCI ZABILI NASZEGO KOLEGĘ" i datę „4.04.91.".

— Pani kochana, takiego młodego chłopaka zastrzelili w nocy. Taki pobożny dzieciak, z pobożnej rodziny... — opowiadały jedna przez drugą starsze kobiety koło przedszkolnej furtki.

— Skoro taki porządny, to co robił nocą na ulicy? — spytała nagle któraś i zapadło milczenie...

Bar „Kos" na Bródnie ma szczęście do włamywaczy. Okradają go regularnie, dostając się do środka wszelkimi złodziejskimi sposobami. Adres baru jest więc dobrze znany północnopraskiej Policji. Kiedy nocą 4 kwietnia, tuż po godz. 2.00, załoga wywiadowców dostała informację od dyżurnego KRP, że czterech mężczyzn usiłuje sforsować drzwi od zaplecza tegoż baru, w ciągu paru minut radiowóz znalazł się na ulicy Łabiszyńskiej. Podjeżdżając do baru policjanci usłyszeli krzyk kobiecy dobiegający gdzieś z okna pobliskiego bloku: ‚Sp...ć! Gliny!" i w tym momencie zobaczyli czterech mężczyzn rozbiegających się po dwóch w przeciwne strony. Policjanci ruszyli za tymi, którzy byli bliżej, jednak po kilku metrach ci również rozdzielili się, biegnąc pojedynczo w różnych kierunkach. Wywiadowca wyskoczył z samochodu i popędził za pierwszym włamywaczem, jego kolega gonił radiowozem drugiego. Miał uciekiniera tuż, tuż przed zderzakiem.

— Mogłem go przycisnąć do ogrodzenia, przed którym się znalazł, ale nie zrobiłem tego — powie później policjant. — Pomyślałem, że i tak zapędziłem go w ślepy zaułek i już mi nie ucieknie.

Włamywacz błyskawicznie podciągnął się na rękach i przeskoczył przez około półtorametrową siatkę na teren przedszkola. Policjant wyskoczył z samochodu i szarpnął furtkę. Była zamknięta. Przed drzwiami przedszkola stał dozorca przyglądając się temu, co się dzieje.

— Policja! Niech go pan łapie! — krzyknął wywiadowca, ale dozorca nie zareagował. Policjant był po cywilnemu, radiowóz też nie oznakowany. Uciekający mężczyzna nagle zniknął w cieniu.

— Niech pan otworzy! — krzyknął policjant, ale dozorca wzruszył ramionami i cofnął się w stronę drzwi. Policjant przeskoczył płot i wyciągnął pistolet gazowy. Kupił go niedawno, za własne pieniądze, specjalnie na nocne służby, bo służbowy P-64 ciągle budzi w nim opory i stresy. Odbezpieczył gazowca i ruszył na poszukiwania uciekiniera. Zobaczył go leżącego tuż przy płocie. Podbiegł i zaczął podnosić go z ziemi.

— Niech mi pan pomoże, to włamywacz! — po raz trzeci zwrócił się do dozorcy. — Niech pan przynajmniej zadzwoni po Policję! — krzyczał. Dozorca tym razem zareagował. — Nie widzę powodu, żeby pomagać — stwierdził flegmatycznie, po czym wszedł do budynku, zatrzasnął drzwi i stanął przy oknie, obserwując co będzie dalej.

— Niech pan dzwoni na komendę! Numer 45-75-55! Słyszy pan? — wołał policjant, ciągnąc wyrywającego się mężczyznę w stronę płotu.

— Przechodź! — usiłował zmusić go do ponownego sforsowania ogro-

siła osąd: „Musieli go pobić po godzinie 3.00, bo mój Wojtek widział go, jak leżał przy bufecie". Po wyjaśnieniu okazało się, że Wojtek jest jej narzeczonym i jego zeznania posunęły istotnie śledztwo do przodu. Już podczas pierwszego przesłuchania stwierdził, że udzieli Policji wszelkiej pomocy, bo on rozumie, że można się napić, narozrabiać, ale żeby zabić człowieka, to nie uchodzi. Zeznał, że około godziny 3.00 widział leżącego Kazimierza Pytko i stojących przy nim Janusza, Wojtka i Pawła. Usłyszał też jak najstarszy z nich, 20-letni Paweł powiedział: „Ale ma ładną kurtkę, trzeba by go skroić". Kazimierz Pytko miał na sobie nową kurtkę z kreszu (taki marszczony ortalion) i tej właśnie kurtki brakowało na ciele denata. Wojtek później odszedł do innego stolika i nie widział, co się działo z tyłu.

Dochodzeniowcy bardzo starannie przygotowali się do rozmowy z tą trójką. Wcześniej zainteresowali się bliżej osobą Jacka Natkańca, słynącego w okolicy z silnej pięści, którą na tej zabawie też dwóm przyłożył, ale jego alibi było nie do odrzucenia. Uzyskali też informację, że na jednej z prywatek Paweł, będąc po potężnej dawce alkoholu, powiedział: „Cholera, zabiłim człowieka". Był to już drugi konkretny ślad.

11 stycznia br. całą trójkę zatrzymano na 48 godzin w areszcie policyjnym. Po Pawła trzeba było jeździć do Ursusa, gdzie pracował w delegacji skierowany przez „Petropol". Pierwszy, po namowach matki, po czterech godzinach przesłuchania zaczął zeznawać [illegible]-letni Janusz. Jemu też spodobała [illegible] kreszowa kurtka Kazimierza Pyt[illegible], ale wcale nie myślał o tym, aby go ograbić. Tuż po godzinie 3.00, gdy opuszczali zabawę, Kazik wygramolił się za nimi. Tak się złożyło, że zatoczyło go i popchnął Pawła. Doszło między nimi do utarczki słownej. Paweł nie wytrzymał, doskoczył do Kazika i zaczął go okładać pięściami. Kazik dał drapaka, ale oni gonili go z 500 metrów, w końcu dopadli i zaczęli w trójkę okładać, gdzie się dało. Po paru ciosach osłabiony Kazik padł na ziemię. Wtedy zdjęli z niego kurtkę i nowe buty. On odszedł od miejsca bójki, a Paweł i Wojtek pozostali przy leżącym. Słyszał pojękiwania Kazika, gdy go kopali.

18-letni Wojtek przyjął podczas przesłuchania zgoła inną taktykę. Być może za przykład posłużył mu ojciec, niegdyś aresztowany tymczasowo z podejrzeniem o dokonanie zabójstwa. Sprawa dowodowo nie była dopięta, ojciec nie przyznał się do czynu i prokurator musiał uchylić areszt. Wojtek kategorycznie zaprzecza, jakoby miał coś wspólnego z pobiciem Kazika. Wyszedł z zabawy o 3.00, podał kolegom rękę i poszedł spać do domu. O kurtce nie słyszał i to, co twierdzi Janusz, że spalili ją, gdy usłyszeli, że Kazik nie żyje, to absolutna bzdura.

Najstarszy, 20-letni, Paweł złożył przed prokuratorem i policjantami krótkie oświadczenie, potwierdzone podpisem na protokole przesłuchań: „Do postawionego zarzutu przyznaję się i odmawiam jakichkolwiek zeznań". I rzeczywiście milczy jak zaklęty.

W Tłuchówku emocje opadły. Po okresie postu zaczną się kolejne zabawy „bezalkoholowe" organizowane przez Koło Gospodyń Wiejskich lub Ochotniczą Straż Pożarną. Znów wódka przyniesiona ze sobą, sprzedawana spod lady, poleje się szerokim strumieniem. Zakazany owoc smakuje najbardziej, więc wszyscy uczestnicy zabawy upiją się w sztok. Miejscowi policjanci zastanawiają się, jak długo jeszcze będzie trwał ten pijany chocholi taniec.

ZYGMUNT PODHORODECKI

PS Imiona i nazwiska występujących osób, oprócz funkcjonariuszy, zostały zmienione.

---

dzenia. Zobaczył światła latarek, to koledzy szli mu z pomocą. Zatrzymany też to zauważył.

— Puść glino, bo ci łeb up...! — wrzasnął patrząc na rękę z pistoletem. Policjant zauważył to i uniósł ją do góry. Wtedy tamten chwycił go za rękę usiłując wyrwać pistolet i zaczął ciągnąć w swoją stronę. Nagle padł strzał...

Mężczyzna osunął się, z szyi chlupnęła mu krew.

— Ręcznik, szybko! — ryknął policjant i dozorca, o dziwo, momentalnie przyniósł, co żądano. Gdy wywiadowca usiłował zatamować krwotok, do płotu podbiegli dwaj jego koledzy. Byli to wywiadowcy z drugiej załogi, którzy również usłyszeli informację dyżurnego o włamaniu, ale przybyli na miejsce nieco później. Przy barze „Kos" nie zastali nikogo, zobaczyli natomiast, że kłódka od drzwi ma obcięty kabłąk, a obok leżą dwa łomy, nożyce do cięcia metalu i dwie duże torby. Nagle usłyszeli, jak w pobliżu ich kolega wykrzykuje numer dyżurnego komendy, pod który każe dzwonić i pobiegli w tym kierunku. Zobaczyli szamotaninę, usłyszeli strzał...

Przez radiostację powiadomili dyżurnego. Zapadła błyskawiczna decyzja, żeby nie czekając na pogotowie zawieźć rannego do położonego parę ulic dalej szpitala. Postrzelony o własnych siłach wszedł do radiowozu, moment później oczekujący przy drzwiach szpitala sanitariusz położył go na łóżko i zawiózł na izbę przyjęć, gdzie natychmiast zbadał go lekarz. Stan rannego okazał się bardzo ciężki, przestrzelenie tętnicy szyjnej powodowało błyskawiczny upływ krwi. Lekarze podjęli próbę ratowania pacjenta.

Dla siedzącego na szpitalnym korytarzu policjanta zaczęło się najkoszmarniejsze oczekiwanie w życiu. Niestety, po 40 minutach od chwili przywiezienia do szpitala ranny mężczyzna zmarł...

* * *

Ofiarą nieszczęśliwego wypadku okazał się 25-letni mieszkaniec Bródna, znany Policji od kiedy to jako nieletni złodziej stawał przed sądem i nadzorowany był przez kuratora. Mężczyzna ten nigdzie nie pracował, jak wszyscy z jego środowiska, w którym pieniądze na wódkę zdobywa się różnymi sposobami. Ostatnio okradał własną matkę, która do Policji zwracała się o pomoc.

Przybiegła do komendy rano po tragicznym wydarzeniu. „Zabiliście mi syna!" — krzyczała, ale chwilę później opowiadała, jak to wczoraj późnym wieczorem syn wpadł do domu, wyciągnął butelkę wódki i poszedł do czekających za drzwiami kolegów.

— Czemu go pani nie zatrzymała? — spytał przesłuchujący policjant.

— Jak? Nigdy nie umiałam go zatrzymać... — odpowiedziała.

* * *

Drugi z uciekinierów został schwytany w czasie pościgu i osadzony w areszcie. Okazało się też, że kobieta, która krzyczała z okna, że nadjeżdża radiowóz, to konkubina zatrzymanego. Kiedy następnego dnia policjanci zapukali do jej mieszkania, zastali pijane towarzystwo urządzające stypę.

Wkrótce też policjanci dowiedzieli się, że praski światek przestępczy poprzysiągł im zemstę. Bliżsi i dalsi koledzy zmarłego, nawet ci, co go nigdy nie znali, opowiadają legendy o zmarłym i o całym zdarzeniu, palą świece na chodniku koło przedszkola i mówią, że teraz na Bródnie będzie się zabijać policjantów...

ELŻBIETA SITEK

ZAGRANICZNA KRONIKA POLICYJNA

● Przeciwko wypadkom

Ograniczenie prędkości na autostradach Wspólnoty do 100—130 km/ha, obniżenie maksymalnej dopuszczalnej ilości alkoholu u kierowców do 0,5 promille (zamiast 0,8 we Francji i większości krajów EWG), wprowadzenie obowiązku poruszania się pojazdów w dzień przy światłach mijania, rozważenie wprowadzenia we wszystkich krajach członkowskich punktowego prawa jazdy, ujednolicenie sygnalizacji, modernizacja i rozbudowa sieci dróg i autostrad — oto kilka z sześćdziesięciu środków technicznych opracowanych przez ekspertów w raporcie do komisji EWG, środków, których wprowadzenie znacznie zmniejszyłoby liczbę i groźne skutki wypadków drogowych.

A skutki tego krwawego bilansu są znane: 50 000 zabitych i ponad 1 500 000 rannych rocznie na drogach Wspólnoty Europejskiej, z rocznymi stratami ekonomiczno-finansowymi, szacowanymi na około 500 miliardów franków.

Groźba wypadków drogowych w krajach Wspólnoty jest dwukrotnie większa niż w Stanach Zjednoczonych — alarmuje się w raporcie. Tak więc wprowadzając podobny do istniejącego w Ameryce Północnej system bezpieczeństwa w ruchu kołowym, można byłoby do 2000 roku zmniejszyć w krajach EWG liczbę zabitych i ciężko rannych o 20—30 proc., czyli ratować od śmierci około 20 000 istnień ludzkich rocznie.

● Wpadli na morzu

Federalne Biuro Śledcze zakomunikowało o ujęciu na pełnym morzu dwóch członków kolumbijskiego kartelu narkotykowego z Medellin. Aresztując ich na wodach międzynarodowych w pobliżu Wenezueli, amerykański wymiar sprawiedliwości nie ma obowiązku zwracać się do Kolumbii o ekstradycję przestępców do Stanów Zjednoczonych.

● Krwawy porachunek

Trzech mężczyzn zastrzelono w momencie, gdy wychodzili z baru w Awinionie, w departamencie Vaucluse. Francuskiej policji nie udało się dotychczas ustalić ilu było napastników, ale oddane strzały okazały się celne. Dwaj zabici Armand i Robert Wali byli dobrze znani miejscowej policji.

● Z wiertarką na rabunek

W centrum Monako obrabowano jeden z największych sklepów jubilerskich. Włamywacze wybili otwór w pancernej szybie wystawy za pomocą wiertarki do kruszenia betonu. System alarmowy nie został uruchomiony.

Łupem złodziei padła biżuteria, wartości około dwóch milionów franków.

● Podejrzani dyplomaci

Irańska agencja prasowa (IRNA), powołując się na opinie dwóch wysokiej rangi funkcjonariuszy policji, podała niedawno, że dyplomaci dwudziestu pięciu zagranicznych ambasad w Teheranie zamieszani są w nielegalny handel dziełami sztuki, o wartości ponad jednego miliarda dolarów, według cen oficjalnych.

oprac. MARIAN OWCZAREK

Na 50 000 zabitych rocznie na drogach Wspólnoty, na Francję przypada prawie 10 000.

Wizyty w CLK (5)

Pierwsze świadectwo, że medycyna sądowa przekształca się w osobną dyscyplinę służącą wymiarowi sprawiedliwości, pochodzi z II wieku naszej ery, kiedy to grecko-rzymski lekarz Galen próbował opisać metody wyświetlania okoliczności gwałtownych i nienaturalnych zgonów. W roku 1248 w Chinach ukazała się obszerna księga pod tytułem „Hsi Yuan Lu", która dawała wskazówki, jak w praktyce zastosować wiedzę medyczną przy wyjaśnianiu zbrodni i w postępowaniu sądowym.

W Europie jednym z prekursorów medycyny sądowej był Duńczyk Thomas Bartholin. W roku 1663 rozstrzygnął sprawę, w której jedna z kobiet została oskarżona o dzieciobójstwo. Podczas sekcji zwłok noworodka odkrył on w płucach pęcherzyki powietrza, wskazujące, że po urodzeniu noworodek oddychał.

Przełom, a zarazem początek przyszłej drogi, na którą wkroczyła medycyna sądowa, nastąpił 22 listopada 1889 roku, kiedy to we francuskiej miejscowości Millery zidentyfikowano zwłoki mężczyzny, będące w silnym stanie rozkładu.

Podobnie jak wykształcenie się systemu daktyloskopijnego, tak rozwój medycyny sądowej był najściślej związany z gwałtownym rozwojem nauk przyrodniczych w wieku XIX. Wówczas to nastąpił zasadniczy zwrot od spekulacji do eksperymentu, od czczych konstrukcji myślowych do poszukiwania faktów dotyczących życia i śmierci.

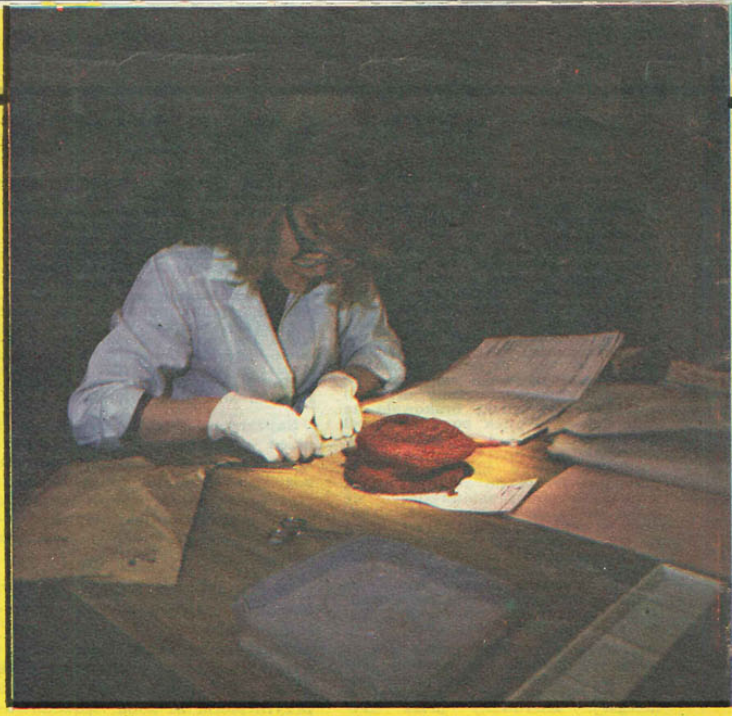

UMARLI RZUCAJĄ CIEŃ

— Jedna, z ciekawszych spraw, realizowanych swego czasu przez tutejszy wydział biologii, było śledztwo prowadzone na początku lat sześćdziesiątych, dotyczące zabójstwa warszawskiej prostytutki — mówi naczelnik Wydziału Biologii CLK Policji, insp. Stefan Kuczyński. — Rozkawałkowane zwłoki zostały odnalezione w dwóch miejscach: przy śmietniku na pl. Konstytucji oraz w zsypie budynku przy ul. Świętokrzyskiej. Poszukiwania mordercy, trwające osiem lat (śledztwo było parokrotnie wznawiane) nie przyniosły żadnych rezultatów.

Dopiero w roku 1968 służby operacyjne pionu kryminalnego uzyskały informację, że w jednym z praskich mieszkań w Warszawie kiedyś dokonano zabójstwa prostytutki. Tam też nastąpiło rozkawałkowanie zwłok. Pojechaliśmy do tego mieszkania i po zapoznaniu się z usytuowaniem pomieszczeń wytypowaliśmy pokój, w którym mogło dojść do zbrodni. Zerwaliśmy podłogę. W jej szparach znaleźliśmy zaschnięte plamy krwi (mimo że przez te wszystkie lata deski podłogowe były wielokrotnie malowane). Krew, łącznie z interesującymi nas fragmentami desek przesłano do laboratoryjnej analizy, gdzie ponad wszelką wątpliwość udowodniono, że zidentyfikowana grupa krwi odnaleziona w szparach podłogowych jest tożsama z grupą krwi denatki. Podjęte przez służbę kryminalną działania doprowadziły do ujęcia mordercy.

Badania biologiczne datowane są w Polsce od roku 1964. Jak dziś prezentuje się wydział biologii, na jakie dzieli się pracownie?

— Obecnie — kontynuuje naczelnik — zatrudniamy 17 osób. Są to fachowcy takich dziedzin, jak: biologia, farmacja, genetyka i medycyna sądowa. Dzięki kontaktom, które od lat utrzymujemy z policjami Zachodu i Wschodu mogę z przekonaniem stwierdzić, że na pewno nie jesteśmy gorsi od najlepszych laboratoriów kryminalistycznych. Poszerzamy zakres naszych zainteresowań. Myślę tu o rutynowych oznaczeniach indywidualnych cech genetycznych, tzw. DNA. Badania te prowadzimy na sprzęcie o najwyższych światowych standardach. Zatem trzeba jeszcze raz podkreślić, że w niczym nie ustępujemy najlepszym laboratoriom kryminalistycznym Ameryki Północnej, Europy czy Japonii.

Jak wspomniałem, w wydziale pracują farmaceuci. Z tym tylko że ich wiedza nie jest wykorzystywana do leczenia. Wydział to nie tylko komputery sprzężone np. z laserem, to również nagromadzone różnorodne zbiory, w tym np. zbiór botaniczny roślin występujących na obszarze całej Polski. Czemu to ma służyć? Niejednokrotnie na narzędziu zbrodni, ciele ofiary, lub ubraniu napastnika odnajdowane są fragmenty roślin, które m[illegible] związek nie tyle z ofiarą, co [illegible] miejscem zdarzenia. Identyfikując roślinę rozpoznaje się zarazem środowisko, w którym dana osoba przebywała.

W pamięci pracowników wydziału odcisnęła się sprawa z lat siedemdziesiątych: seria morderstw na tle seksualnym. Podczas sekcji zwłok jednej z ofiar, w narządach rodnych kobiety odnaleziono fragment kwiatu polnego, mimo że denatka została odkryta w lesie pod stertą gałęzi. Zgodnie z sugestią ekspertów kryminalistyki funkcjonariusze dokonali przeszukania okolicznych łąk. Wkrótce trafiono na miejsce zabójstwa, gdzie odnaleziono ślady krwi ofiary. Kiedy ujęto mordercę, podczas jego przesłuchania wielce pomocne okazały się informacje ekspertów dotyczące miejsca przestępstwa, sposobu przenoszenia ofiary i sposobu maskowania zwł[illegible]

*

Badania genetyczne to ostatni światowy krzyk mody. Czym jest

„odcisk genetyczny", który podobnie jak odcisk naszych linii papilarnych jest niepowtarzalny? Z tym pytaniem zwróciłem się do podkom. dr Aleksandry Tucholskiej z pracowni genetyki.

— Ów „odcisk" to w rzeczywistości sekwencje nukleotydów w łańcuchu DNA, które można zidentyfikować na podstawie badania np. wydzielin bądź krwi ofiary lub napastnika. W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że identyczny kod genetyczny mają tylko bliźniaki jednojajowe, ale w przypadku kryminalistyki nie ma to praktycznie żadnego znaczenia. Natomiast pozostałych członków populacji ludzkiej jesteśmy w stanie genetycznie różnicować.

— Na ile jest to możliwe?

— Owe hiperzmienne sekwencje DNA oczywiście mają możliwości powtórzeń, jest to oznaczone za pomocą analizy statystycznej. Ale owa powtarzalność jest możliwa raz na... dwadzieścia pięć miliardów. W związku z tym, że liczba mieszkańców Ziemi waha się w chwili obecnej w granicach pięciu i pół miliarda, zatem praktyczna powtarzalność kodu genetycznego jest realnie niemożliwa.

— W jakich sprawach wykorzystywana jest identyfikacja genetyczna?

— Na razie przeprowadzamy ją w przypadkach najcięższych przestępstw wymierzonych przeciw życiu lub zdrowiu.

Po raz pierwszy genetyka znalazła zastosowanie w biologicznych badaniach kryminalistycznych przed kilkoma laty. Wówczas to w angielskiej miejscowości Lester zanotowano morderstwo na tle seksualnym dwóch nieletnich. Początkowo krąg podejrzanych objął około 800 mężczyzn. Metodami serologicznymi (na miejscu zbrodni zabezpieczono krew napastnika i jego nasienie) dokonano wstępnej identyfikacji grupowej. Na tej podstawie wykluczono 721 podejrzanych. Badanie pozostałych metodami serologicznymi na nic by się już nie zdało. Wówczas to poproszono dr. Jefreya o przeprowadzenie badań genetycznych. Ale i ta metoda nie przyniosła spodziewanego rezultatu. Dlaczego? Okazało się to w kilka tygodni później, otóż w jednym z pubów, po wypiciu większej ilości piwa, pewien mężczyzna oświadczył, że oszukał policję wysyłając na badania kolegę, który legitymował się jego dowodem tożsamości. Słowa te dotarły do policji. Delikwenta zmuszono do poddania się badaniom, na których podstawie udowodniono mu winę.

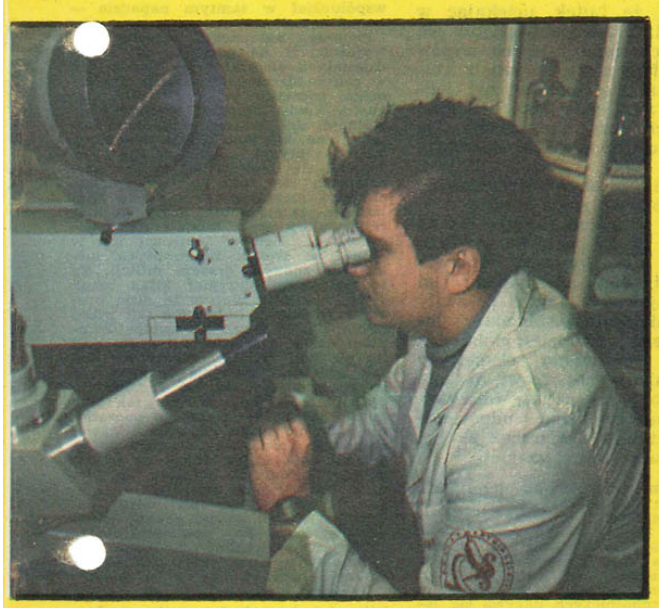

W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że co innego udowodnić komuś winę, czym innym natomiast jest uznanie przez sąd przedstawionego dowodu. Światowa kryminalistyka przez długi czas czekała aż sąd uzna dowód genetyczny za przekonywający. Stało się tak w piątek, 13 listopada 1987 roku. Wówczas to sąd w Bristolu skazał Roberta Meliasa na 8 lat pozbawienia wolności za zgwałcenie 43-letniej kobiety. Winę udowodniono mu na podstawie „odcisku genetycznego", który pozostawił na miejscu przestępstwa.

PAWEŁ SZLACHETKO
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

Z GAZEM NA LISTONOSZA

— Alkohol i dziewczynki to chyba nie to. Potrzeba nam czegoś mocniejszego — stwierdził wysoki blondyn i przyjrzał się uważnie kolegom. Ci skinęli głowami. — Co myślicie o zorganizowaniu napadu, którego łupem padłyby miliony? Mam kilka pomysłów...

Rozmowa toczyła się przy czteroosobowym stoliku podczas dyskoteki w studenckim klubie „Park". Jej uczestnikami byli: 18-letni Piotr, uczeń technikum mechanicznego dysponujący fiatem 126p; 20-letni Marek, żołnierz przebywający na przepustce wojskowej, trenujący kick-boxing, pomysłodawca zorganizowania napadu; 18-letni Grzegorz, uczeń technikum elektronicznego, właściciel fiata 125p; 18-letni Radek, uczeń liceum ogólnokształcącego. Połączyły ich wspólne „zainteresowania", a przede wszystkim wolny czas i zamiłowanie do ryzyka.

W kilka dni później Marek wyjechał z Warszawy do jednostki wojskowej. Pierwszy skok koledzy zaplanowali i wykonali bez niego.

Tomasz R. decydując się na wykonywanie zawodu doręczyciela wiedział o tym, że będzie należał do jednej z grup pracowniczych najbardziej narażonych na napady. Na jego poczcie ostatnio dużo rozmawiano o zabójstwie listonoszki z Lublina, której spalone zwłoki znaleziono w piwnicy.

Przy wykonywaniu obowiązków służbowych pan R. starał się więc być ostrożnym i solidnym listonoszem. W jego torbie często znajdowały się milionowe kwoty, np. na wypłatę emerytur.

Tego styczniowego ranka nie dostrzegł niczego podejrzanego, kiedy wchodził do klatki schodowej jednego z bloków osiedla bródnowskiego w Warszawie. W kilka minut później otoczyło go trzech młodych mężczyzn w kominiarkach na twarzach. Psiknęli miotaczem gazowym, a kiedy zasłaniał oczy, wyrwali torbę.

Na wołanie o pomoc na korytarz wybiegli lokatorzy. Sprawcy rozboju porzucili torbę, kradnąc jedynie przekazy pieniężne na sumę ok. 9 mln zł. Z miejsca zdarzenia odjechali fiatem 126p. Świadkowie nie zapamiętali numeru rejestracyjnego samochodu, podali policjantom tylko ogólne rysopisy napastników w kominiarkach.

Radek część pieniędzy wpłacił na książeczkę oszczędnościową w PKO, Grzegorz za swoją działkę wyremontował samochód, pozostali wydali pieniądze na jedzenie i alkohol.

Dochodzenie w sprawie rozboju na listonoszu zakończyłoby się zapewne umorzeniem z powodu niewykrycia sprawców, gdyby nie wydarzenia, które nastąpiły miesiąc później.

Tomasz R. roznosząc pocztę rozmyślał właśnie, że w tej samej klatce schodowej napadli na niego trzej zamaskowani rabusie. Nagle spostrzegł na półpiętrze czterech mężczyzn w kominiarkach. Dalszy przebieg tego spotkania był podobny do poprzedniego. Skradli około 8 mln zł. Trzech odjechało fiatem 125p, czwartemu nie udało się uruchomić malucha. Postanowił zawierzyć swoim umiejętnościom sprinterskim.

W maluchu funkcjonariusze odnaleźli miotacz gazowy i kominiarki. Tym razem świadkowie szczegółowo opisali sprawców, ponieważ przez krótką chwilę widzieli ich bez kominiarek, gdy wysiadali z fiata 125p.

Sposób działania oraz miejsce napadu sugerowały, że mogą to być ci sami przestępcy, co miesiąc temu. Różnica polegała jedynie na tym, że zamiast trzech było ich teraz czterech.

Funkcjonariusze z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego KRP Warszawa Praga-Północ ustalili właściciela porzuconego malucha. Państwo K. byli zdziwieni, że podejrzewa się ich o napad na listonosza. Ich syn, Piotr również nie przyznawał się do niczego. Kiedy okazało się, że nie ma alibi na 11 lutego 1981 r., zaczął podawać nazwiska i adresy kolegów, z którymi los go kiedyś zetknął. Funkcjonariusze sprawdzili informacje i doszli do wniosku, że Piotrek kłamał. Po kolejnej rozmowie mieli już prawdziwe numery telefonów i adresy pozostałych uczestników napadu.

Marek protestował, kiedy policjanci zabierając go na komisariat uparli się, żeby założył jasny kożuch, w którym widziany był przez świadków podczas napadu. Tłumaczył, że za kilka godzin kończy się jego wojskowa przepustka. Grzegorz i Radek również stracili humor wsiadając do radiowozu.

Do styczniowego rozboju nie chcieli się przyznać. Piotr pierwszy skapitulował, kiedy funkcjonariusze pokazali bardzo do niego podobny portret pamięciowy, a doręczyciel rozpoznał go.

— Pieniądze nie były tu najważniejsze — podkreślali wciąż w składanych wyjaśnieniach. — Potrzebowaliśmy mocnych wrażeń, takich jakie przeżywają bohaterowie filmów sensacyjnych.

Decyzją prokuratora młodzi ludzie zostali tymczasowo aresztowani. Wszyscy pochodzili z dobrze sytuowanych rodzin.

JOLANTA SZUTKOWSKA

Z policyjnego archiwum

TADEUSZ GROMNICKI

FORMUŁA PRAWDOPODOBIEŃSTWA

2

Rylski otrzymał wreszcie konkretne nazwisko i dobrze wiedział, jak dalej ma postępować. Zaczął od sprawdzenia Lutka w kartotece kryminalnej i w rejestrze skazanych Ministerstwa Sprawiedliwości. Okazało się, że ma do czynienia z bardzo groźnym przestępcą, zdolnym do dokonania najbardziej okrutnych czynów. Marcin Lutek został skazany po raz pierwszy w wieku 19 lat, za dwa włamania i oszustwo. Po odbyciu kary zginął z pola widzenia milicji, zręcznie unikając jakiejkolwiek inwigilacji. Rok później pojawił się we Wrocławiu. Tam został zatrzymany pod zarzutem dokonania dwóch napadów rabunkowych na właściciela prywatnej wytwórni konfekcji i emerytowanego lekarza oraz jego żonę. 24 marca 1964 roku, wyrokiem Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu, został skazany na karę 8 lat więzienia. Podczas śledztwa i rozprawy nie przyznał się do popełnienia zarzucanych mu czynów, nie wydał wspólników i nie wskazał miejsca ukrycia zrabowanych walorów. Po uprawomocnieniu się wyroku. został skierowany do Zakładu Karnego we Wronkach w województwie poznańskim, skąd 16 marca 1966 roku zbiegł.

A więc osiem miesięcy przed datą napadu na mieszkanie Szumigajów Marcin Lutek znalazł się na wolności, a na opakowaniu po sportach, znalezionym na miejscu tego przestępstwa, były jego odciski palców, trudno byłoby marzyć o bardziej przekonywających dowodach winy. Ale znany ze skrupulatności inspektor Rylski nie poprzestał na tym. Jego ludzie, dysponujący fotografiami Lutka, rozpierzchli się po okolicy w poszukiwaniu śladów pobytu Lutka ostatnio lub w przeszłości. Jeden z nich zdobył ważne informacje. Wynikało z nich, że młody bandyta był kiedyś częstym gościem rodziny Szumigajów i ich licznych sąsiadów, u których wynajmował się do różnych sezonowych prac na roli. Przesłuchana ponownie żona Mariana Szumigaja zeznała, że przez cały czas była przekonana, że głos zbira, który napadł w nocy na ich mieszkanie, nie jest jej obcy. Teraz już wie, że chodzi tu o Lutka.

Skojarzenia w ogóle zrobiły furorę w tym śledztwie. Dzięki nim inspektor zyskał niebawem jeszcze jednego świadka. Była nim mieszkanka tej samej wioski, aktualnie studentka V roku filologii polskiej Uniwersytetu Poznańskiego, Irena Zięba. Niespełna siedem lat temu, kiedy Lutek pracował u Szumigajów i ich sąsiadów, ona trochę z nim sympatyzowała. Podczas jednego ze spotkań przypadkowo powiedziała Lutkowi, że najbogatszym gospodarzem we wsi jest Szumigaj, ponieważ otrzymał w spadku po krewnych tyle złota, że mógłby kupić takie miasto jak Nowa Sól albo nawet jeszcze większe. Lutek bardzo się zainteresował tą wiadomością, zaczął wypytywać ile tego złota może być, w jakiej jest postaci, gdzie jest ukryte itp. Nie podała mu żadnych konkretów, sama ich nie znała, ale Rylskiemu to już wystarczyło.

Referując te ustalenia prokuratorowi, inspektor nie zapomniał dodać, że Lutek jest mężczyzną o krępej postaci, silnie zbudowanym i ma 178 cm wzrostu. Tak przynajmniej wynikało z zeznań świadków i z opisu zdjęcia sygnalitycznego, jakie wykonano mu w Komendzie Wojewódzkiej MO we Wrocławiu tuż po zatrzymaniu pod zarzutem napadu na lekarza i sklepikarza. Prokurator też nie miał żadnych wątpliwości, że śledztwo wkroczyło wreszcie na właściwą drogę. Jeszcze tego dnia wydał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu Marcina Lutka i list gończy.

Najskuteczniejszą, nie tylko u nas, ale i na całym świecie, metodą na ustalenie miejsca pobytu i zatrzymanie ukrywającego się niebezpiecznego przestępcy są tzw. ogólnokrajowe poszukiwania nadzwyczajne. W różnych policjach i milicjach metoda ta ma odmienne nazwy, ale jej cele, formy i zakres są wszędzie podobne. Jej istota polega na włączeniu do poszukiwań wszystkich służb i każdego funkcjonariusza, wraz z będącymi na ich wyposażeniu środkami technicznymi, operacyjnymi, informacyjnymi itp.

Komenda Główna MO przychyliła się do wniosku Komendy Wojewódzkiej MO w Zielonej Górze w tej kwestii. W ruch poszła cała potężna machina poszukiwawcza, rozdzwoniły się telefony, ruszyły dalekopisy. Jako pierwsza odezwała się Komenda Wojewódzka MO w Szczecinie. Podległy jej wydział kryminalny uzyskał informację, że w pewnej melinie przestępczej na terenie dzielnicy Pogodno pojawił się pod koniec maja bliżej nie znany mężczyzna, odpowiadający rysopisowi Marcina Lutka. Przybysz nocował tam przez prawie dwa tygodnie, po czym zniknął, jak kamień w wodzie. Przed wyjazdem miał powiedzieć swojemu najbardziej zaufanemu kamratowi, że jest umówiony na spotkanie z jakimś fartownym wspólnikiem i jeśli robota wypali im tak, jak zaplanowali, to będą mieć szmalu po uszy.

Ta informacja była ciekawa na tyle, że Lutek, uciekając w marcu 1966 roku z więzienia we Wronkach, miał czterech wspólników. Być może, że ten, z którym miał się spotkać, był jednym z nich. Ale nikt nie miał pewności, czy informacja ze Szczecina rzeczywiście dotyczyła Lutka.

Takich nieskonkretyzowanych przekazów wpłynęło zresztą więcej. Na przykład milicja łódzka ustaliła, że na początku grudnia, a więc niespełna po upływie dwóch tygodni od napadu na Szumigajów, w Łodzi pojawiły się w nielegalnej sprzedaży złote monety dwudziestodolarowe. Ale po wykonaniu ekspertyzy kryminalistycznej monet, okazało się, że były to monety fałszywe, wykonane ze stopu odpowiednich metali, a z wierzchu pokryte cieniutką warstwą złota.

Nie wszystkie jednak informacje nadesłane do centrali w związku z poszukiwaniami nadzwyczajnymi Marcina Lutka, udało się wyjaśnić do końca. Najtwardszy orzech do zgryzienia mieli pracownicy Wydziału Kryminalnego w Katowicach. Uzyskali oni wiadomość, że w jednym z hoteli robotniczych ukrywa się jakiś mężczyzna, który dopuścił się zabójstwa czy też napadu rabunkowego gdzieś w Polsce zachodniej. Chcąc sprawdzić, czy określona osoba mieszka na stałe bądź przebywa co jakiś czas w takim hotelu, należało rozwinąć koronkową pracę operacyjną. Niestety, bez sukcesu, ponieważ cała akcja była spóźniona co najmniej o trzy dni. Jak ustalono bowiem, w hotelu numer 16 przy ulicy Składowej do 17 grudnia przebywał jakiś młody, podejrzanie zachowujący się mężczyzna o rysopisie przypominającym poszukiwanego Lutka, ale pewnego wieczora wyszedł i od tej pory nikt go więcej nie widział.

Na najciekawszy, jeszcze tzw. ciepły ślad poszukiwanego, natrafiono w Poznaniu, odległym niespełna 150 km od Nowej Soli. Podczas kontroli melin przestępczych u starego doliniarza, znanego w swoim środowisku pod pseudonimem „Pompa", milicjanci znaleźli dużą, charakterystyczną broszę ze złota, wysadzaną rubinami. Była ona ukryta w skrytce w piwnicy, wraz z kilkoma pierścionkami, zegarkami i rulonem banknotów dolarowych. Właśnie taka sama brosza została zrabowana podczas napadu na lekarza i jego żonę, dokonanego przez Lutka we Wrocławiu 5 stycznia 1964 roku. A więc to, czego bezskutecznie poszukiwano wówczas w związku z prowadzonym przeciwko temu podejrzanemu śledztwem, zostało znalezione teraz. „Pompa" wiedział, że jego sytuacja procesowa jest trudna i — nie chcąc być posądzonym o współudział w tamtym napadzie — zaczął sypać.

Podczas wstępnego przesłuch[illegible] wyjaśnił, że na początku lat s[illegible] dziesiątych siedział przez ponad rok w celi z Marcinem Lutkiem. Od samego początku przypadli sobie do gustu. Kiedy „Pompa" wychodził na wolność, dał swojemu kumplowi adresy, pod którymi będzie osiągalny. Ale czas płynął, a tamtego nie było. Pojawił się dopiero pod koniec października 1966 roku w towarzystwie chudego mężczyzny, prosząc o znalezienie jakiejś dobrej mety, w której mogliby przez kilka tygodni pomieszkać. „Pompa" umieścił ich w jednej ze swoich najnowszych melin, nie znanych jeszcze milicji. Za tę przysługę otrzymał kilka sztuk złotej biżuterii, w tym tę dużą broszę z rubinami. Lutek nie taił przed „Pompą", że wraz ze swoim kumplem uciekł z więzienia i grunt pali im się pod nogami. Chudy nie był tak wylewny, mało się odzywał, nic go nie interesowało, na zadane mu pytania odpowiadał krótko „tak" lub „nie". „Pompa" od samego początku nie miał do niego zaufania i nawet namawiał Lutka, aby tamtego gdzieś spławił. Ale Lutek śmiał się z podejrzeń „Pompy", mówiąc że Heniek, bo tak miał mieć na imię jego przyjaciel, jest bystrzakiem nadającym się do każdej roboty, a oni właśnie mają już upatrzoną dobrą robotę. O co bliżej chodziło, „Pompa" się nie dowiedział. [illegible] zniknęli nagle 2 czy 3 listopada.

Inspektor Rylski nie miał wątpliwości, kim był ten drugi. Lutek zbiegł z więzienia we Wronkach wraz z trzema innymi skazanymi. Jeden z nich, Henryk Bazarek, miał 178 cm wzrostu, był bardzo szczupły i lekko przygarbiony. Z akt więziennych wynikało, że jest milczkiem, stroni od towarzystwa i zachowuje się tak, jakby zawsze coś knuł. Ciekawe było tylko to, że przypadł do gustu akurat Lutkowi, człowiekowi wesołemu, łatwo nawiązującemu kontakt z każdym. Może tym magnesem były wysokie kwalifikacje kryminalne Bazarka, o których Lutek wspomniał staremu „Pompie", a może właśnie plan wspólnej akcji, na przykład napadu na mieszkanie Szumigajów? Realne było jedno i drugie. Lutek do tego stopnia związał się ze swym koleżką, że zdecydował się sięgnąć do złotego łupu, zdobytego przez siebie podczas udanego napadu na lekarza i jego żonę. Na pytanie, dlaczego do mieszkania Szumigajów wtargnął sam Lutek, można było znaleźć wiele odpowiedzi, ale nie one były teraz najważniej-

sze. Bazarek na pewno zaczął prowadzić Lutka swoimi ścieżkami, szukając dla nich obu schronienia w sobie tylko znanych melinach, korzystając z własnych kontaktów, paserów itp.

A więc Bazarka należało zacząć poszukiwać z równą intensywnością, jak Lutka. Pierwszy specjalizował się we włamaniach i właśnie za nie tak często trafiał do zakładów karnych i na ławy oskarżonych. Poza tym z milicyjnych akt inwigilacji wynikało, że dobrze się czuł również w roli pasera i oszusta. W Warszawie, gdzie mieszkał i działał przez ponad osiem lat, miał wielu wrogów wśród przestępców z tego powodu, że kilku z nich „przewalił" przy podziale wspólnie zdobytych łupów. Jedna z informacji wskazywała, że mógł mieć związek z nagłym zaginięciem znanego złodzieja kieszonkowego, uchodzącego za jednego z najbogatszych w stolicy przestępców. Poza tym Bazarek miał rozległe kontakty na terenie Trójmiasta. Tam mieszkali: jego kochanka, przyrodnia siostra, jakiś jubiler, który przetapiał różnego rodzaju charakterystyczne wyroby ze złota na złom i mnóstwo różnego rodzaju znajomych. Teraz, w ramach działań poszukiwawczych, wszystkie te kontakty trzeba było objąć dyskretną obserwacją bądź kontrolą operacyjną w innej formie, bo Bazarek sam bądź wraz ze swoim kolegą mógł się tam pojawić każdego dnia.

Z tego punktu widzenia bardzo interesująca była też melina emerytowanej prostytutki „Ciotki Maryli", mieszcząca się w niepozornej kamienicy w Sopocie. „Ciotka Maryla" udzielała schronienia tylko starannie wyselekcjonowanym klientom, tym, którzy grali o utrzymanie swojej głowy, mając na to pieniądze. Pewien informator już 14 grudnia dał milicji cynk, że od dwóch dni w tej melinie przebywa jakichś dwóch nie znanych nikomu młodych mężczyzn, a „Ciotka" staje na głowie, aby jak najszybciej załatwić dla nich lewe dowody osobiste. Powiadomiony o tym Rylski postanowił osobiście udać się do Sopotu, aby wziąć udział w akcji zatrzymania obu poszukiwanych, ponieważ nie wątpił, że chodzi tu o Lutka i Bazarka. Ale nie dojechał do celu, w połowie drogi otrzymał drogą radiową polecenie niezwłocznego skontaktowania się z Komendą Wojewódzką MO w Poznaniu.

To, czego się tam dowiedział, było szokujące. Oto dwa dni temu w bagnach nad Notecią robotnicy leśni ujawnili zwłoki jakiegoś mężczyzny. Miał na sobie brązowy garnitur, takiego samego koloru krótki sportowy płaszcz, beżową koszulę, krawat w poprzeczne paski i ciemne półbuty. Był bez jakichkolwiek dokumentów. W kieszeniach znaleziono nie otwartą paczkę papierosów „Sport", bilet kolejowy z Poznania do Chodzieży, trochę bilonu, pudełko zapałek i dwa biurowe spinacze. Sekcja zwłok, przeprowadzona w Zakładzie Medycyny Sądowej w Poznaniu, wykazała, że przyczyną zgonu było uduszenie wskutek zatkania otworów oddechowych nosa i ust gęstym szlamem, takim samym, jaki znajdował się w miejscu znalezienia zwłok. Na ciele denata nie ujawniono żadnych obrażeń, mogących mieć związek z jego śmiercią bądź świadczących, że z kimś walczył bądź przed kimś się bronił.

(cdn)

JAK UMIERA CZŁOWIEK

Ubiegłoroczna jesień wprawdzie grzybami nie wysypała, ale i tak sporo osób jeździło do lasu w poszukiwaniu maślaków, borowików i prawdziwków. Dla niektórych hasło „grzybobranie" niestety bywa tylko okazją do alkoholowej libacji na łonie natury...

Tak właśnie było w przypadku 19-letniego Arkadiusza S. W podwarszawskich Ząbkach mieszkał Hubert C. — rodzony brat jego matki. Kiedy w lipcu 1990 roku Hubert C. uległ poważnemu wypadkowi samochodowemu, rodzina zadecydowała, że na kilka tygodni młodzieniec zamieszka w Ząbkach i będzie się opiekował poszkodowanym w pierwszym okresie rekonwalescencji. Specyficzna to była rehabilitacja, bo dwójka mężczyzn... niemal nie trzeźwiała, a kolejne dni powrotu do zdrowia Huberta C. znaczone były opróżnionymi butelkami po wódce, winie i piwie.

W niedzielę, 10 września ub. r., Arek przyjechał do matki na warszawski Kawęczyn. Nie łączyły ich zbyt ścisłe więzy. Wychowywała go samotnie. Rodzonej matce więcej czasu pochłaniał uliczny handel, a później przepijanie zarobionych pieniędzy niż wychowanie syna. Już od najmłodszych lat zadawał się on ze starszymi o kilka lat kolegami, którzy nie stronili od alkoholu. Arek i jego kumple, mimo że nie mieli stałego miejsca pracy, na brak funduszy nie narzekali. Trochę imali się dorywczych zajęć, resztę zdobywali sobie znanymi sposobami. O tym, że nie zawsze były one legalne, świadczy fakt, że mimo młodego wieku byli dobrze znani organom ścigania.

W niedzielne popołudnie Arek spotkał dwóch bliskich znajomych: Andrzeja i Michała. Nie widział się z nimi od dobrych kilku miesięcy, zaprosił ich więc do Ząbek na grzybobranie. Kupili kilka półlitrówek, coś do jedzenia i około godziny 20.00 cała trójka zjawiła się w mieszkaniu Huberta C.

Przez noc nie zmrużyli oka. Libacja rozpoczęła się wieczorem i nawet nie zauważyli, kiedy zaświtały pierwsze promienie słońca. Mocno pijani około godz. 8.00 przypomnieli sobie, że już najwyższy czas ruszyć na grzybobranie.

Efekty grzybobrania, jak się można spodziewać, były mniej niż zadowalające. Upływały kolejne minuty, a koszyki wciąż były puste. Po kilku kwadransach cała czwórka doszła do wniosku, że grzyby zostały wyzbierane przez konkurencję i pora wracać do domu.

Po drodze kupili w sklepie monopolowym pół litra wódki. Już po kilkunastu minutach w butelce ujrzeli dno. Arkadiusz S. wraz z jednym z kompanów poszli do pobliskiej kawiarni po kolejne dwie butelki żytniej. Na miejscu zdążyli jeszcze dla kurażu strzelić po setce czystej.

Kiedy wracali z towarem do mieszkania Huberta C., na klatce schodowej wiodącej do mieszkania zauważyli leżącego na schodach mężczyznę.

— Zobacz, jak się urżnął. Leży tu i nie wie, jak do domu trafić — zażartował nawet jeden z nich.

W mieszkaniu wujka cała czwórka szybko i sprawnie rozpiła przyniesiony alkohol. Promille i nie przespana noc dały o sobie wkrótce znać: towarzystwo rychło zapadło w sen.

Pierwszy obudził się Arkadiusz. Ubrał się i wyszedł z mieszkania z zamiarem dotarcia do domu na warszawski Kawęczyn. Kiedy schodził po schodach, natknął się na leżącego nadal na klatce schodowej mężczyznę, który mruczał coś pod nosem, słychać było przekleństwa.

Pijany z pijanym podobno zawsze się dogada. Może właśnie dlatego Arkadiuszowi S. udało się dowiedzieć, że nie znany mu mężczyzna mieszka... piętro niżej. Wprawdzie widział go pierwszy raz w życiu, ale postanowił pomóc kompletnie pijanemu.

Przy pomocy drugiego mężczyzny, który akurat schodził z góry, udało mu się wprowadzić, a raczej wciągnąć 50-letniego Janusza D. do jego mieszkania.

Nagrana kilka dni później taśma magnetofonowa z przeprowadzonej w mieszkaniu Janusza D. wizji lokalnej tylko częściowo oddaje przebieg wydarzeń tamtego tragicznego wieczora.

„Zaproponował mi napicie się wódki... Wypiliśmy po jednym kieliszku... Pamiętam, że leżał w przedpokoju... Ja stałem nad nim. Wyjąłem nóż z kieszeni i przykucnąłem nad nim ... szyję mu przeciąłem... Nóż był tępy, wbiłem go w szyję... Chciałem wyjść z mieszkania, pomyślałem, że będzie miał pieniądze... Wróciłem i na szafie znalazłem zwitek banknotów... Na biurku leżał nóż kuchenny. Wróciłem, ukucnąłem nad nim, zacząłem wbijać w brzuch 7—8 razy..."

Dopiero śledztwo pozwoliło na dokładniejsze wyjaśnienie tego, co zaszło w mieszkaniu Janusza D.

Kiedy zostali w nim sami, tj. Janusz D. i o trzydzieści lat młodszy Arkadiusz S., gospodarz zaproponował mu wypicie kielicha. Wkrótce Janusz D. zaczął zwierzać się ze swoich problemów życiowych i trosk. Nie wiadomo dokładnie, co gnębiło 50-letniego starego kawalera. Nie wiadomo też, co było przyczyną tak nagłej zmiany w jego nastroju. W pewnej chwili rzewna melancholia i łzy zamieniły się w potok przekleństw. Arkadiusz D. widząc, że nagle stał się nieproszonym gościem, wręcz intruzem, skierował się w stronę drzwi. Gospodarz zdecydowanym krokiem zagrodził mu drogę. Arek nie wiedział, czemu uderzył go silnie zaciśniętą dłonią. Gospodarz padł na podłogę. W tym momencie chłopak wyjął nóż, który z reguły zwykł nosić przy sobie w kieszeni, przejechał ostrzem po gardle leżącego na ziemi. Stępione ostrze nie pozostawiło jednak na szyi żadnego śladu, wtedy zniecierpliwiony brakiem efektu wbił mu nóż.

Zabójca nawet nie plądrował mieszkania. Zadowolił się 175 tysiącami złotych leżącymi na kredensie.

Miał już wychodzić, kiedy wzrok jego padł na długi nóż kuchenny. Chwycił go, ukucnął nad denatem.

— Chciałem zobaczyć — tłumaczył się później w śledztwie — z jaką siłą trzeba pchnąć nóż, żeby wszedł on w ciało człowieka. By to dokładnie sprawdzić, najpierw przystawiłem ostrze do ciała, a później zaczynałem je wpychać. Najpierw delikatnie, później z coraz większą siłą, aż do skutku.

Dopiero wtedy narodziła się refleksja, że zabił człowieka. Wiedziony doświadczeniem wyniesionym z filmów i książek sensacyjnych przystąpił do zacierania śladów. Zerwał kawałek materiału jakim były obite krzesła w mieszkaniu zamordowanego i dokładnie starał się zetrzeć ślady linii papilarnych z klamki, butelki, szafki, kieliszków. Postanowił też upozorować pożar. Na zwłoki wylał pół litra wódki, rzucił gazety, kołdrę i wszystko to podpalił. Wychodząc odkręcił kurki w kuchence gazowej.

Poszedł do kawiarni, gdzie zamówił kolejną porcję alkoholu, po czym taksówką pojechał do Warszawy. Około godziny spędził w centrum stolicy, gdzie przy okazji włamał się do mercedesa, by zabrać leżącą na siedzeniu skórzaną kurtkę i pojechał do domu na Kawęczyn.

Po przyjeździe dowiedział się, że była u niego Policja i że jest poszukiwany. Nie próbował uciekać. Myślał, że uda mu się przechytrzyć organa ścigania... i sam natychmiast zgłosił się do Komendy Rejonowej Policji Warszawa Praga-Północ.

Przeliczył się jednak. Nie sądził, że mimo spalenia mieszkania zgromadzone dowody przemawiają za tym, że jest winny śmierci Janusza D. Kilka godzin po zabójstwie, o 8.00 rano, Arkadiusz S. kończył czytać protokół przesłuchania, w którym przyznał się do popełnienia zbrodni i ze szczegółami opowiedział jej przebieg...

KRZYSZTOF KILIJANEK

magazyn 997 kryminalny

WYDAJE
KOMENDA GŁÓWNA POLICJI

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: ELŻBIETA CIERLICA (redaktor naczelny 45-61-26, 20-54-18 lub MSW 149-70), RYSZARD HRYCYK (red. graficzny), Krzysztof Kilijanek, JERZY KIRZYŃSKI (zastępca redaktora naczelnego, 45-61-72, 20-16-39), Henryk Makarski (oddział red. w Lublinie, 201-01 w. 4605). Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Adam K. Podgórski (oddział red. w Katowicach, 510-221 w. 1965), Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Leszek J. Sroka, Paweł Szlachetko, Jolanta Szutkowska, Jolanta Ślifierz, MARCEL TABOR (sekretarz redakcji, 45-61-32, 20-16-39), Cezary Woliński, Krzysztof Zaczkiewicz (red. techniczny)

FOTOREPORTERZY: Krzysztof Makrzyszewski, Krzysztof Potocki

ADIUSTATOR: Agata Guzdek-Wrotna

KOREKTA: Małgerzata Boruta, Elżbieta Mirowska

ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: Maria Pawlak, 45-61-15

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: J. Bieniek, M. Misiewicz, M. Owczarek, A. Pałatij, A. Popielski, J. W. Wójcik.

ADRES REDAKCJI: 00-896 Warszawa, ul. Ogrodowa 28/30. Telefon sekretariatu 45-61-26, kasa 45-60-86. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

Prenumerata na II kwartał wyłącznie z jednostek Policji.
Cena – 12 000 zł

Zamówienia i reklamacje w sprawie kolportażu w II kwartale kierować pod adresem redakcji, ul. Ogrodowa 28/30, 00-896 Warszawa, tel. 45-68-66. Wpłaty należy dokonywać na konto OO NBP/ Warszawa 1052-7995-130 ZOJCP (prenumerata)

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod adresem redakcji „MK 997". Cena: słowo – 5000 zł, cm² – 8000 zł. Kolorowane dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto 23 IV 1991
zam. 4447
REDAKTOR DYŻURNY
Jolanta Ślifierz

SPORT

ZGODNIE Z OCZEKIWANIAMI

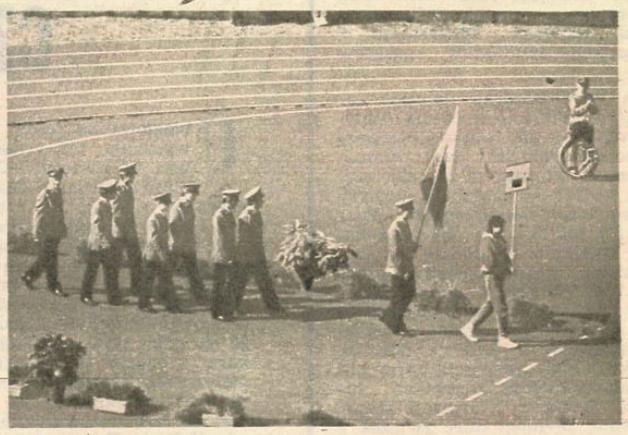

Nie od dziś wiadomo, że sport zbliża nie tylko narody, ale i grupy zawodowe. Od dwóch lat reprezentacja naszej Policji, dodajmy z powodzeniem, uczestniczy w Światowych Igrzyskach organizowanych w Trento (Włochy). W tegorocznej imprezie wystąpiły drużyny z 49 krajów, po raz pierwszy sportowcy-policjanci z Albanii, Paragwaju, Peru i Tajlandii.

Rywalizowano w konkurencjach zimowych (biegi płaskie, kombinacje alpejskie, biathlon), strzelectwie, judo, zapasach, boksie, pływaniu, lekkiej atletyce, biegu ulicznym. Najliczniejszą ekipę stanowili gospodarze, najmniej (2) przyjechało Albańczyków.

Znakomitą formę zademonstrowali judocy st. post. Michał Nowaczyński (Olimpia Poznań) startujący w wadze 60 kg oraz st. post. Piotr Kamrowski (Gwardia Katowice) walcząc w wadze 65 kg. Obaj zdobyli złote medale.

Michał Nowaczyński ani przez moment nie był zagrożony w wyścigu po najwyższe miejsce na medalowym podium. Przez ippon wygrał ze wszystkimi rywalami. W pierwszej walce, przed czasem, rozprawił się z Hiszpanem Montano, w następnej rundzie wyeliminował Lazara Silviu (Rumunia), by w finałowym spotkaniu już w 8 sekundzie zdeklasować reprezentanta gospodarzy Massimiliano Madeddu.

P. Kamrowski w eliminacjach zmierzył się z groźnym Wai-Keungiem (Hongkong), a jego kolejnym rywalem był Dragos Bolbose (Rumunia). Przed trzema laty Rumun zdobył mistrzostwo Europy juniorów, Piotrek plasował się wtedy, jak pamiętamy, na trzecim miejscu. Wprawdzie na mistrzostwach ze sobą nie walczyli, ale pojedynek w Trento był niejako rewanżem za ME juniorów. Kamrowski od pierwszej sekundy przeważał, wykonał też więcej punktowanych akcji i na niego wskazali sędziowie. W finale zwyciężył Włocha Quarticelli Felice. „Polacchi super nel judo" — pisał sprawozdawca „Alto Adige".

St. post. Edmund Tomczak występujący w najcięższej kategorii +95 kg wywalczył brązowy krążek.

Dobre, medalowe lata przypomniała sobie sierż. Urszula Kielan (Gwardia Warszawa), która w swej olimpijskiej konkurencji, skoku wzwyż triumfowała wynikiem 178 cm. Pani Urszula zdobyła srebrne medale w biegu na 60 m oraz skoku w dal. Bez zdobyczy medalowych powrócili nasi znakomici strzelcy st. post. Andrzej Macur (Gwardia Zielona Góra) oraz sierż. Zdzisław Łukasz (Gwardia Katowice), na usprawiedliwienie ich niepowodzeń można podać fakt, że przyszło im rywalizować w strzelaniu z broni wielkiego kalibru, co nie jest ich specjalnością. A. Macur zajął 6 miejsce, zaś Z. Łukasz 10.

Drużyna polskiej Policji znalazła się w ścisłej czołówce punktacji (nieoficjalnej) Światowych Igrzysk Policji i nagrodzona została okazałym pucharem.

— Z analizy wyników oraz nazwisk uczestników wynika, że w Trento walczyli obok utytułowanych zawodników nieznani sportowcy. Jakie zatem były warunki startu? — zapytałem kierownika naszej drużyny nadkom. Dariusza Gaja z Centrum Kultury i Sportu Policji.

— Organizatorzy nie postawili żadnych wymogów poza jednym — uczestnicy winni być policjantami. Igrzyska były zawodami otwartymi. Zapewne w przyszłości wystawimy liczniejszą ekipę, w Trento wystąpiło 6 policjantów. Koszty ich pobytu pokrywali gospodarze, ja wraz z kierowcą przebywałem na koszt naszego resortu. Korzystając z okazji chciałbym podziękować kierownictwu MSW, Komendy Głównej Policji za umożliwienie startu naszej drużyny, przydzielenie nam mikrobusu, którym odbyliśmy podróż.

— Zmaganiom sportowym towarzyszyły zapewne liczne imprezy, spotkania itp.

— Tak. Nie sposób nie dodać, że igrzyskom nadano wysoką rangę. W otwarciu uczestniczył minister spraw wewnętrznych Włoch, przebieg zawodów relacjonowała prasa, tv. Delegacje poszczególnych ekip przyjęte zostały przez władze miasta, wizytowaliśmy komendę karabinierów prowincji Trentino, wysłuchaliśmy koncertującej orkiestry policyjnej w Roveretto.

— Doszły mnie słuchy, że po raz ostatni w tej formie odbywać się będą zmagania sportowców policjantów.

— Wiąże się to z powstaniem Światowej Unii Sportu Policyjnego (USIP), pod której egidą odbywać się już będą kolejne zawody. Formuła ich nie została jeszcze opracowana. Wiele do powiedzenia będzie też miała Europejska Unia Sportu Policyjnego (USPE). Podczas pobytu we Włoszech miałem przyjemność rozmawiać z jej prezydentem Hiszpanem Garcią. Zapewnił, że otrzymamy wkrótce certyfikat upoważniający do ubiegania się o wstąpienie do tej organizacji

— Dziękuję za rozmowę.

RAFAŁ ŁUKASZEWSKI
zdj. archiwum

UWAGA! NASZ KONKURS „KIBIC DOSKONAŁY"

Rozwiązanie konkursu ogłoszonego w nr. 6/91 „Magazynu Kryminalnego 997": 1. Pogoń Lwów, 2. We Lwowie, 3. Miejsce urodzenia, prowadzili kadry narodowe (boks i piłka nożna), byli razem na olimpiadach w Monachium i Montrealu, trenowali zespoły warszawskiej Gwardii, mieszkają w Warszawie. Nagroda za poprawne rozwiązanie przypadła panu Tomaszowi Masłowskiemu z Warszawy. Gratulujemy.

A oto kolejne pytania:

1. Który z polskich sportowców policjantów dwukrotnie uczestniczył w Światowych Igrzyskach Policji w Trento?
2. Kiedy i gdzie utworzona została Światowa Unia Sportu Policyjnego?
3. Który spośród klubów znajdujących się w gestii MSW był dotąd najliczniej reprezentowany w igrzyskach w Trento?

Wśród czytelników, którzy w ciągu 10 dni przyślą rozwiązanie konkursu (z dopiskiem „Kibic doskonały") rozlosujemy nagrodę ufundowaną przez redaktora naczelnego „MK 997". Prawidłowe odpowiedzi wliczane są do tegorocznej edycji naszego konkursu.

Radca prawny odpowiada

NAGRODA JUBILEUSZOWA W SŁUŻBIE ZDROWIA

Joanna Socha z Kościana — Z dniem 12 października 1990 r. weszło w życie rozporządzenie RM z 17 września 1990 r. zmieniające rozporządzenie w sprawie niektórych obowiązków i uprawnień pracowników zatrudnionych w zakładach służby zdrowia (Dz. U. nr 65 poz. 387).

Rozporządzeniem tym przyznano pracownikom służby zdrowia uprawnienie do nagrody jubileuszowej w wysokości 75% miesięcznego wynagrodzenia po 20 latach pracy. Zmieniony § 19 w ust. 2 rozporządzenia stanowi, że ustalanie okresów pracy i innych okresów uprawniających do nagrody jubileuszowej oraz zasady jej obliczania i wypłacania, regulują ogólnie obowiązujące przepisy.

Jednocześnie jednak ww. rozporządzenie w § 2 zastrzegło wyraźnie, że: „Nagroda jubileuszowa z tytułu 20 lat pracy (...) przysługuje pracownikom, którym okres ten upływa poczynając od dnia wejścia w życie niniejszego rozporządzenia".

Pani okres 20 lat pracy upłynął 31 sierpnia 1989 r. Zatem nagroda jubileuszowa za ten okres pracy Pani nie przysługuje.

Grażyna Grząsek

KULISY „SPRAWY PRZEMYKA"

ciąg dalszy ze s. 3

POLITYKA RZĄDZIŁA PRAWEM

stroju, w którym przyszło mu żyć. Podane przeze mnie okoliczności, nie będące tajemnicą, stanowią uzupełnienie pańskiego pytania, ale nie są dowodem na potwierdzenie w tej chwili drugiej jego części. Jak wiadomo — śledztwo jeszcze trwa, przesłuchiwani są kolejni świadkowie i dopóki nie zostanie ono uwieńczone aktem oskarżenia nie mogę jednoznacznie wypowiadać się na poruszony przez pana temat.

— Na początku naszej rozmowy powiedział pan, że posiłkować się będzie tekstem drugiego aktu oskarżenia. Już fakt, że dokument ten, stanowiący przecież podstawę procesu sądowego, sporządzano dwukrotnie, budził nieufność opinii publicznej. Nie to jednak było najważniejsze, ponieważ odsyłanie aktu oskarżenia przez sąd, celem uzupełnienia śledztwa, stanowi przypadek nieodosobniony. Moją uwagę zwróciły natomiast trzy fakty: odwrócenie kolejności nazwisk oskarżonych w drugim dokumencie, oskarżenie obu pracowników pogotowia ratunkowego o inne jeszcze przestępstwa, nie związane ze śmiercią G. Przemyka oraz zmiany w uzasadnieniu. Tym razem przemawiało ono wyraźnie na niekorzyść sanitariuszy. Zwraca także uwagę, że od wniesienia pierwszej wersji aktu oskarżenia, tj. 23.12.1983 r. do daty wniesienia wersji drugiej (7.05.1984 r.) upłynęły ponad cztery miesiące, w trakcie których miała miejsce najaktywniejsza działalność pozaprocesowa MSW, SB i MO. W sumie śledztwo trwało więc niemal rok. Czy wszystkie te fakty nie świadczą, iż od początku przebiegało ono nieprawidłowo? I inne jeszcze pytanie: dlaczego śledztwo zostało odebrane Prokuraturze Rejonowej Warszawa-Śródmieście i przejęte przez Prokuraturę Wojewódzką oraz jak to się stało, że sprawy nie rozpatrywał Sąd Rejonowy, a od razu, jako I instancja, Sąd Wojewódzki?

— Zacznę od uwagi generalnej: gdyby ówczesne śledztwo prowadzone było prawidłowo i gdyby równolegle z nim nie toczyła się urągająca praworządności działalność pozaprocesowa organów podległych ministrowi spraw wewnętrznych — moi zwierzchnicy nie zadecydowaliby o wystąpieniu do sądu z wnioskiem o jego wznowienie. Jest to więc sprawa bezdyskusyjna. Natomiast jeżeli chodzi o korzystanie przeze mnie w trakcie rozmowy z drugiego aktu oskarżenia, to dlatego, iż on właśnie stał się podstawą rozprawy sądowej i w oparciu o niego zapadł wyrok. Poza tym — jak pan słusznie zauważył — uległ on zmianom w stosunku do pierwszego. Jak dalece istotnym — sam pan stwierdził. Wyjaśnię jedynie, że w akcie tym oskarżono dodatkowo obu pracowników pogotowia o pobicie Waldemara P. 4 maja 1983 r. (a więc osiem dni wcześniej, aniżeli miało miejsce skatowanie G. Przemyka). Ponadto J. Szyzdka oskarżono o kradzież pieniędzy poszkodowanemu, pozostającemu pod wpływem alkoholu. Postępowanie w tej sprawie wszczęła 16 grudnia 1983 r. Prokuratura Śródmiejska, a przejęła je później, już po sporządzeniu pierwszego aktu oskarżenia w sprawie Przemyka, Prokuratura Wojewódzka. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby się domyślić, w jakim celu. Wysocki i Szyzdek „przelicytowali" milicjantów zdecydowanie, stając przed sądem oskarżeni o podwójne, podobne przestępstwo. Użyte w oskarżeniu w sprawie Waldemara P. określenie „kopiąc po całym ciele" oddawać miało ich sadystyczny charakter, ujawniony potem, niemal w taki sam sposób, wobec Przemyka. Istotne jest również, że oskarżenie w tej sprawie oparło się niemal wyłącznie na zeznaniu poszkodowanego, natomiast nie uznano za wiarygodne oświadczeń G. Przemyka, złożonych na kilka godzin przed śmiercią, w szpitalu przy ul. Solec. Lekarz B. G., przesłuchiwany wówczas jako świadek, podał, że „pacjent poinformował go, iż podczas pobytu w komisariacie MO trzymano go za ręce i nogi, a następnie bito pięścią w brzuch..." Z kolei pielęgniarka E. K. zeznała, że chory „skarżył się na bóle brzucha, które — jak stwierdził — są następstwem pobicia »na milicji«."

— Wtrącę tutaj, że mimo iż sprawie Waldemara P. 27-stronicowy akt oskarżenia poświęca zaledwie dwie kartki, to kto wie, w jakiej mierze zaważyły one na przebiegu rozprawy, a także na wyroku... Powróćmy jednak do przyczyn, które sprawiły, że „sprawę Przemyka" przejęła stołeczna Prokuratura Wojewódzka, a rozpatrywał od razu Sąd Wojewódzki...

— Teoretycznie oba te posunięcia są dopuszczalne, jeżeli istnieją ku temu uzasadnione powody. I tutaj zaczynają się dziać rzeczy świadczące, że w PRL polityka była ponad prawem, a ściślej — że określone gremium pezetpeerowskie mogło decydować o sposobie prowadzenia śledztwa, a tym samym wpływać na orzecznictwo sądowe. Innymi słowy wkraczamy w naszej rozmowie w najbardziej mroczne kulisy „sprawy Przemyka". O tym, że prowadziła ją Prokuratura Wojewódzka przejmując od Prokuratury Śródmiejskiej postanowiło... Biuro Polityczne KC PZPR już 24 maja 1983 r., czyli w kilka dni po śmierci G. Przemyka. Na tym samym posiedzeniu zadecydowano, że sprawę śmierci G. Przemyka traktować należy jako nadzwyczajną. W specjalnie sporządzonym grafiku czynności z tym związanych widnieją nazwiska (w rubryce „nadzoruje") członków tegoż Biura i sekretarzy KC. Odpowiedzialnymi za realizację podjętych decyzji były przede wszystkim Wydział Administracyjny KC, nadzorujący m.in. MSW i prokuraturę oraz Wydział Prasy, Radia i TV. Należy więc stwierdzić, że „sprawa Przemyka" już od pierwszych chwil miała charakter polityczny, który nadali jej decydenci partyjni.

Od chwili decyzji podjętych na wspomnianym posiedzeniu BP KC PZPR uruchomiona została potężna machina wielu służb MSW i KG MO, której jedynym zadaniem stało się sfałszowanie prawdy o przyczynach śmierci G. Przemyka i sprawienie, aby świat (w tym również sąd) uwierzył, że nie byli jej winni milicjanci. Słuszne będzie stwierdzenie, że przynajmniej w minionym dwudziestoleciu niewiele (lub w ogóle) znajdzie się spraw, w których z takim natężeniem i determinacją posługiwano się najbardziej nieetycznymi i bezprawnymi metodami w celu oszukania sprawiedliwości.

Winien jeszcze jestem panu odpowiedź na pytanie, dlaczego sądem I instancji był w „sprawie Przemyka" warszawski Sąd Wojewódzki. W znacznej mierze zadecydowały o tym znowu względy polityczne, czego prokuratura nie ukrywała. W pierwszym, przesłanym do sądu akcie oskarżenia napisano w jego zakończeniu m.in.: „Sprawa dotycząca śmierci Grzegorza Przemyka jest szczególnie zawiła, co uzasadnia rozpoznanie jej w I instancji przez Sąd Wojewódzki, zgodnie z art. 17 § 2 kpk. Powodem tego jest przede wszystkim fakt, iż od samego początku jest ona wykorzystywana przez ośrodki antysocjalistyczne w kraju i za granicą do walki politycznej, której celem jest poderwanie zaufania społeczeństwa do władzy państwowej i jej organów...". Można by oczywiście dyskutować, czy owo zaufanie społeczeństwa nie zostało, aż w nadmiarze, poderwane wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego, ale truizmami nie musimy się w tym przypadku posługiwać. Fakt pozostaje faktem, że śledztwo i proces w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka tylko z pozoru miały charakter sprawy kryminalnej. O ich przebiegu i efekcie końcowym zadecydowały czynniki natury politycznej.

— Dziękuję za tę część naszej rozmowy. Proponuję, abyśmy w następnej zobrazowali Czytelnikom, na czym polegały matactwa w śledztwie oraz podjęte przez SB i MO działania pozaprocesowe.

LESZEK J. SROKA

Fragment „Decyzji" Biura Politycznego KC PZPR z dnia 24.05.1983 r., w której czytamy: „Traktować sprawę śmierci G. Przemyka jako nadzwyczajną. Powołać zespół pod przewodnictwem tow. M. Milewskiego, który zajmie się koordynacją spraw wynikających z przebiegu śledztwa i oceną materiałów do wykorzystania w środkach masowego przekazu. Wystąpić z propozycją do Prokuratury Generalnej o przekazanie sprawy G. Przemyka z Prokuratury Dzielnicowej do Stołecznej..."

W piśmie przewodnim do komendanta głównego MO — gen. J. Beima, dyrektor Gabinetu Ministra Spraw Wewnętrznych wnosi o spowodowanie realizacji zadań ujętych w „Decyzji" BP KC PZPR.

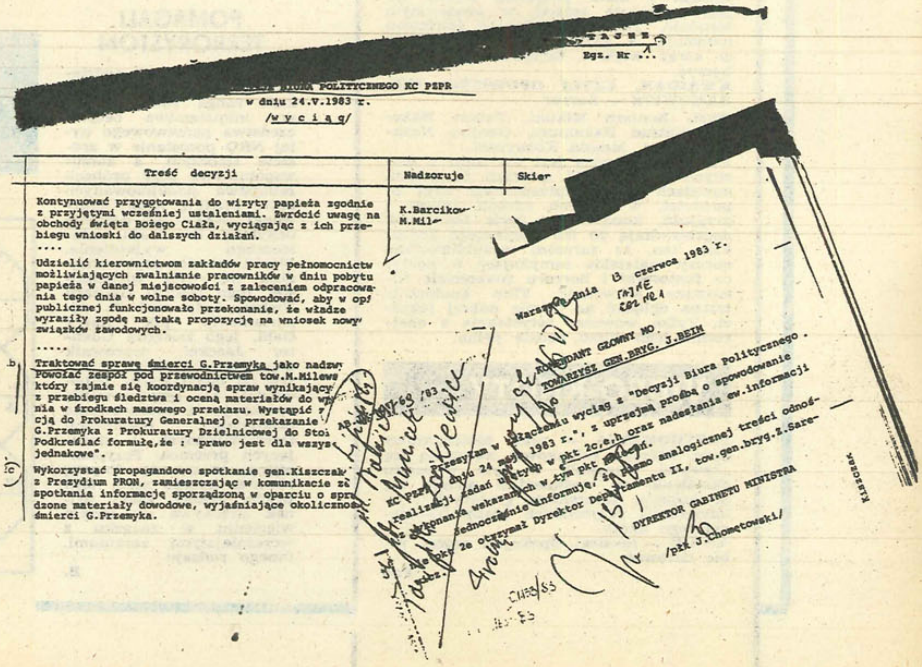

TAJNE

Egz. Nr 7

[illegible] BIURA POLITYCZNEGO KC PZPR

w dniu 24.V.1983 r.

/w y c i ą g/

Treść decyzji	Nadzoruje	Skier
Kontynuować przygotowania do wizyty papieża zgodnie z przyjętymi wcześniej ustaleniami. Zwrócić uwagę na obchody święta Bożego Ciała, wyciągając z ich przebiegu wnioski do dalszych działań.	K.Barcikow M.Mil-	
Udzielić kierownictwom zakładów pracy pełnomocnictw możliwiających zwalnianie pracowników w dniu pobytu papieża w danej miejscowości z zaleceniem odpracowania tego dnia w wolne soboty. Spowodować, aby w opi publicznej funkcjonowało przekonanie, że władze wyraziły zgodę na taką propozycję na wniosek nowy związków zawodowych.		
Traktować sprawę śmierci G.Przemyka jako nadzw Powołać zespół pod przewodnictwem tow.M.Milew który zajmie się koordynacją spraw wynikających z przebiegu śledztwa i oceną materiałów do wy nia w środkach masowego przekazu. Wystąpić r cją do Prokuratury Generalnej o przekazanie G.Przemyka z Prokuratury Dzielnicowej do Stoł Podkreślać formułę,że : "prawo jest dla wszys jednakowe".		
Wykorzystać propagandowo spotkanie gen.Kiszczak z Prezydium PRON, zamieszczając w komunikacie ze spotkania informację sporządzoną w oparciu o spr dzone materiały dowodowe, wyjaśniające okolicznoś śmierci G.Przemyka.		

Warszawa, dnia 13 czerwca 1983 r.

[illegible]

WYCIĄG DO KOMENDANT GŁÓWNY MO

TOWARZYSZ GEN.BRYG. J.BEIM

Przesyłam w załączeniu wyciąg z "Decyzji Biura Politycznego KC PZPR" z dnia 24 maja 1983 r., z uprzejmą prośbą o spowodowanie realizacji zadań ujętych w tym pkt [illegible] oraz nadesłania ew.informacji o wykonaniu wskazanych w tym pkt zadań.

Jednocześnie informuję, że [illegible] analogicznej treści odnośnie [illegible] ze otrzymał Dyrektor Departamentu II, tow.gen.bryg.Z.Sarewicz.

DYREKTOR GABINETU MINISTRA

/płk J.Chomętowski/

Egzemplarz

panorama 997

MYŚLI

Nie można dawać i tworzyć wartości nie poświęcając i nie zużywając innych. Cokolwiek dobrego robimy — czynimy to kosztem własnym lub cudzym.

Zdzisław Cackowski

Ludzie śmieją się tylko z tego, co śmieszne, albo z tego, czego nie rozumieją.

Antoni Czechow

Grubas jest to człowiek, który zarówno bliźniemu, jak i sobie zajmuje za dużo miejsca.

Tadeusz Kotarbiński

Trudno sobie wyobrazić, ile trzeba mieć inteligencji, by nigdy nie stać się śmiesznym.

N. Chamfort

Zraniona ambicja nigdy się nie goi.

Artur Nikolski

ZAPAMIĘTAJ:
Nie każde bezprawie można naprawić, lecz każde prawo można zepsuć.
Marie von Ebner-Eschenbach

VIDEO TOP

COBRA DAY (Dzień Kobry) — sens.
Wyst. Franco Nero, Sybil Danning. Reż. Enzo G. Castellari.
Jest to historia policjanta z San Francisco, który niesłusznie oskarżony o przemyt narkotyków otrzymuje wyrok trzech lat więzienia. Po wyjściu na wolność chce wyrównać rachunki z bossem narkotycznego gangu. W tym celu wyjeżdża do Neapolu, gdzie działają handlarze białą śmiercią. Typowy film akcji, dużo bójek, strzelaniny. Ogólnie rzecz biorąc nic nowego, choć fabuła jest zgrabnie skonstruowana.

FOR PETER'S SAKE (Dla dobra Petera) — kom.
Wyst. Barbara Streisand, Michael Sarrazin, Estelle Parsons. Reż. Peter Yates.
Zabawna historia o zakochanej w swym mężu kobiecie, która postanawia pomóc mu w zdobyciu pozycji w życiu, odpowiadającej jego aspiracjom. Niestety cel ten zamierza ona osiągnąć niezbyt konwencjonalnymi metodami. Oto zaciąga u mafii pożyczkę, której nie jest w stanie spłacić w oznaczonym terminie. Tak więc kłopoty lawinowo narastają, a główna bohaterka wpada w coraz większe tarapaty. Warto zobaczyć.

KWAIDAN, CZYLI OPOWIEŚCI NIESAMOWITE — horror
Wyst. Rentaro Mikuni, Tatsuo Nakadai, Katsuo Nakamura, Ganjiro Nakamura. Reż. Masaki Kobayashi.
Film przeznaczony jest dla ludzi o mocnych nerwach. W czterech filmowych nowelach reżyser przedstawia nam opowieści, w których zdrada, miłość i przyjaźń, komplikując życie bohaterów doprowadzają do ich tragicznego końca. Film ten, to zarazem wysublimowane obrazy malarskie zamykające w poetyce fantastyki i horroru znakomicie filmowane sekwencje. Film koniecznie trzeba oglądać na taśmie dobrej jakości. Tylko wówczas satysfakcja z obejrzenia tego filmu będzie pełna.

VIDEO-KNOTY

PSYCHOMANIA — sens. Motocyklowy gang, którego członkowie nazywają się „żywymi trupami". W tym wypadku określenie to wyśmienicie nadaje się do kunsztu aktorskiego grających i umiejętności reżyserskich osoby filmującej tego knota.
ANNIE — musical. Spokojnie można sobie darować.

PaS

CORAZ WIĘCEJ ŚWIĘTYCH

Jak pisze „The European", Jan Paweł II ogłosił już więcej świętych niż wszyscy jego poprzednicy w naszym stuleciu razem wzięci. W czasie swej historycznej pielgrzymki do Wielkiej Brytanii zatwierdził 6 nowych świętych z czasów reformacji. Kanonizował też jednocześnie 103 męczenników koreańskich. Kiedykolwiek papież pojawia się w Afryce (jedyny pozostały chrześcijaństwu teren rozwoju), natychmiast wyznacza narodowego świętego z goszczącego go kraju, do którego wierni mogą modlić się w ich własnym języku i który rozumie ich kulturę.

Kiedy w 1958 r. na Tron Piotrowy wstąpił Jan XXIII, postanowił zmniejszyć liczbę świętych, obniżając rangę m. in. św. Jerzemu, św. Krzysztofowi, czy wreszcie ulubieńcowi dzieci, św. Mikołajowi. Dzisiaj święci znów w modzie. Świętość jest zarówno sprawą duchową, jak i polityczną. Nic więc dziwnego, że jak na ironię kandydatem na nowego świętego jest m. in. papież-reformator Jan XXIII...

M.

POMAGALI TERRORYSTOM

Zgodnie z decyzją sędziego śledczego, pięciu wysokich rangą funkcjonariuszy ministerstwa bezpieczeństwa państwowego byłej NRD pozostanie w areszcie śledczym, a zarzut współudziału przy próbach zabójstwa podejmowanych przez Frakcję Armii Czerwonej (RAF) nie zostanie uchylony do czasu ostatecznego wyjaśnienia. Wśród aresztowanych znajdują się: były wiceminister tego resortu Gerhard Neiber, były szef 22. departamentu płk Harry Dahl, jego zastępca Guenter Jaeckel, pracownik departamentu Gerd Zaumseil. 22 departament odpowiadał za przygotowania operacyjne i nadzorowanie działalności organizacji terrorystycznych i stosujących przemoc. Przypomnijmy, że zarzuty dotyczą również byłego szefa MfS Ericha Mielke, który jednak przebywa w innym więzieniu w związku z wcześniejszymi zarzutami, innego rodzaju.

B.

BROŃ WRESZCIE POD KONTROLĄ?

Były prezydent Ronald Reagan, który w całej swej karierze politycznej był dotąd przeciwnikiem wszelkiej kontroli nad sprzedażą broni palnej, wyraził poparcie dla projektu ustawy przewidującej 7-dniowy okres oczekiwania przy sprzedaży broni krótkiej, który umożliwiłby sprawdzenie, czy potencjalni nabywcy są notowani w kartotekach policji i zakładów psychiatrycznych. Rzecznik Białego Domu oświadczył, iż prezydent Bush szanuje opinię Reagana, lecz nadal sprzeciwia się projektowi w jego obecnej postaci. Prezydent jest bowiem zwolennikiem ostrzejszych środków w likwidacji źródeł przestępczości.

B.

25 MLN ZGWAŁCONYCH AMERYKANEK

W latach 1975—1990 w Stanach Zjednoczonych ofiarami gwałcicieli padło 25 milionów Amerykanek — stwierdził niedawno amerykański „Time". Zgwałcenia młodych kobiet w wieku od 18 do 25 lat wzrosły aż o 50 proc.

(om)

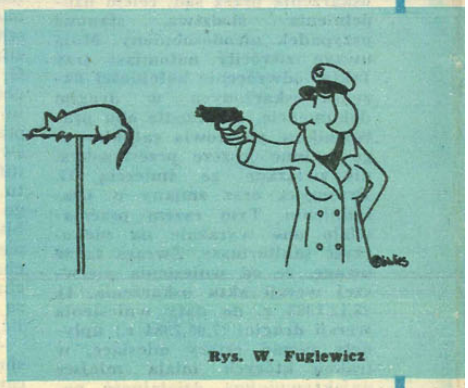

Rys. W. Fuglewicz

ROZWIĄZANIE Z NR. 6

Są ludzie, którzy spokojnie skaczą z wieży w przepaść, w oczekiwaniu, że im podczas spadania wyrosną skrzydła.

NAGRODĘ WYLOSOWAŁ Antoni Zwiercan — Kraków.

WIRÓWKA

Następujące wyrazy: adiutant, kanonier, Katylina, kompania, kordelas, niedolot, palisada, podstawa. Sergeant, Spitfire, szwadron, szyftarz, warownia, wołoszka — wpisać prawoskrętnie do diagramu, aby powstała wirówka. Litery z ponumerowanych pól, napisane w kolejności od 1 do 20, utworzą rozwiązanie. Wśród Czytelników, którzy w terminie 14-dniowym nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosowane zostaną nagrody.
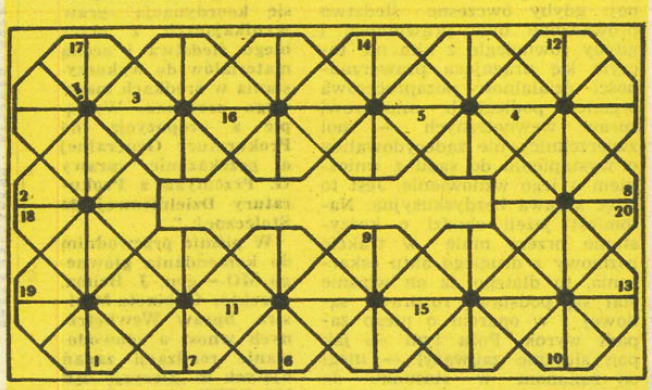
SYLWESTER LIPIŃSKI